



Cara Colter



Szkoła uczuć

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Twoje życie jest do bani.

Ben Anderson otworzył usta, by zaprotestować, ale zaraz je zamknął. Przez chwilę rozmyślał nad tym stwierdzeniem i doszedł do wniosku, że nie można mu jednak odmówić trafności. Oczywiście prawdziwość tych słów ściśle wiązała się z faktem, że został opiekunem ich autora, swojego jedenastoletniego siostrzeńca, Kyle'a.

Sprawował tę funkcję od dziesięciu dni i był to zdecydowanie najbardziej ponury okres jego życia, co było dosyć wymowne, jeśli wziąć pod uwagę, że spędził kilka lat w piechocie morskiej i brał udział w ośmiomiesięcznej misji w kraju piasku, krwi i zdrad.

Tam przynajmniej obowiązywały procedury i reguły. Sprawowanie opieki nad Kyle'em było natomiast jak zrzut nad obcym krajem bez wsparcia, map i ze szczątkową znajomością obowiązującego języka.

Mówił już Kyle'owi, na przykład, że ma dość wyrażenia: „twoje życie jest do bani” czy też za każdym razem po prostu puszczał je mimo uszu?

W zamyśleniu przyglądał się leżącej przed nim kopercie. Zaadresowano ją na nazwisko pana Bena Andersona, a dopisek w nawiasie precyzował, że chodzi o „opiekuna prawnego Kyle'a", jakby Ben miał zamiar się od tego wykręcić. Charakter pisma był schludny i sztywny, co wiele mówiło o jego właścicielce i potwierdzało to, co na jej temat w ciągu tych dziesięciu dni opowiedział mu Kyle.

Panna Maple, nowa nauczycielka w nowej szkole Kyle'a, była stara. I wredna. Nie mówiąc już o tym, że nadzwyczaj brzydka.

Była również niesprawiedliwa, miała piskliwy głos i stanowiła kobiecą inkarnację Dżyngis-chana.

Kyle wiedział na temat Dżyngis-chana zaskakująco dużo. Poinformował go między innymi, że jedna czwarta świata ma w sobie jego krew. Jego głos był pełen nadziei, ale Ben naprawdę wątpił, by jego rudowłosy piegowaty siostrzeniec należał do tego odsetka.

Ben odwrócił kopertę, szukając wskazówek.

- Dlaczego panna Maple do mnie napisała? - zapytał chłopca, nie otwierając listu.

- Chce się z tobą zobaczyć - odparł Kyle.

- Twoje życie jest do bani - powtórzył, a potem wymaszerował z kuchni wuja, jakby ta sprawa w ogóle go nie dotyczyła.

Ben pomyślał, że odpowiedzialnie byłoby nakazać siostrzeńcowi powrót i przedyskutować kwestię ulubionego przez chłopca zwrotu. Dotychczas jednak nigdy nie był za nikogo odpowiedzialny i naprawdę nie wiedział, jak postępować z Kyle'em.

Chłopak miał nonszalancki twardy wzrok ulicznika, pod którym kryły się jednak niezmierzone pokłady kruchości, które kazały się Benowi zastanowić, czy wojskowe podejście byłoby w tym przypadku pożyteczne, czy poczyniłoby raczej jeszcze więcej szkód.

A Bóg jeden wie, że tych ostatnich akurat więcej nie potrzebują. Prawda była taka, że jeśli czyjekolwiek życie było do bani, to właśnie życie Kyle'a O. Andersona.

Rodzice Bena zginęli w wypadku samochodowym, gdy Ben miał siedemnaście lat. Był za stary na to, aby wchłonął go system, ale zbyt młody, aby zająć się swoją o trzy lata młodszą siostrą. On trafił do piechoty morskiej, Carly do rodziny zastępczej. Ben miał więcej szczęścia.

W wieku lat piętnastu Carly była już przepełniona bólem i poczuciem zdrady, gdy skończyła szesnaście lat, zaczęła szaleć, a rok później zaszła w ciążę, co nie uleczyło ani bólu, ani szaleństwa.

Ciągała Kyle'a za sobą od jednego nieudanego związku do drugiego, mieszkali zazwyczaj w podejrzanych dzielnicach. Gdy Ben był za granicą, przez jakiś czas byli oboje nawet bezdomni. Po powrocie Ben próbował im pomóc, ale Carly go odpychała. Postrzegала zaciągnięcie się brata i jego wyjazd jak zdradę, i nigdy mu tego nie wybaczyła.

Teraz jednak miała lat dwadzieścia osiem i umierała.

A Ben stanął przed trudnym wyborem. Gdyby nie Carly, jego życie byłoby bliskie ideału. Miał swoją firmę - znalazł niszę na rynku i zajął się stawianiem dobudówek na terenach ekskluzywnych posesji otaczających Morehaven w stanie Nowy Jork.

Rok wcześniej zainwestował we własny dom w Cranberry Corners, miasteczku, które znacznie przyczyniło się do rozwoju jego przedsiębiorstwa i było oddalone o trzy-

dzieści minut drogi od cieszącego się złą sławą centrum Morehaven, które Kyle i Carly nazywali domem.

Ben specjalizował się w projektowaniu i stawianiu stałych konstrukcji, takich jak tarasy, patia, grille i zewnętrzne kuchnie, dzięki którym podwórka Cranberry Corners zyskiwały status superstylowych. Była to piekielnie ciężka praca, co odpowiadało Benowi - zazwyczaj rozpierała go energia i chciał zachować formę. Sukces firmy przerósł jednak jego najśmielsze oczekiwania.

Ben miał także paczkę kumpli, którzy tak jak on cieszyli się sukcesami zawodowymi oraz statusem singla.

Miałby teraz z tego zrezygnować i wziąć do siebie Kyle'a O. Andersona ze wszystkimi jego problemami? Alternatywą było pozostawienie chłopca w tym samym systemie, który zniszczył Carly.

Ben uważał się za typowego samca, egoistycznego, nieczulego i płytkiego - z czego był bardzo dumny, zdumiał więc samego siebie, gdy poczuł, że właściwie nie ma wyboru. Mężczyzna nie może uchylać się od powinności - a tym było dla niego wzięcie Kyle'a.

Chłopak i jego matka w ogóle tego jednak nie doceniali.

Ben otworzył przesyłkę od panny Maple. Z listu dowiedział się, że Kyle zachowuje się w klasie nagannie i z tego powodu Ben powinien niezwłocznie pofatygować się do szkoły.

Pomyślał, że jeśli panna Maple ma pomysł, jak poradzić sobie z zachowaniem Kyle'a, to on, Ben, powinien ten pomysł poprzeć całym sercem. Zupełnie nie wiedział, jak postępować z pyskатыm, opryskliwym i agresywnym jedenastolatkiem, który doświadczył tak wielu tragedii. W Kyle'u było tyle wrogości.

Niestety, notka głosiła, że jego spotkanie z panną Maple rozpoczęło się piętnaście minut temu.

- Kyle? - zawołał.

Nie doczekał się odpowiedzi, ruszył więc korytarzem do pokoju chłopca. Przystanął na chwilę w progu. Wcześniej pomieszczenie służyło mu jako domowa siłownia -

zainstalował w nim nawet plazmowy telewizor i zestaw głośników. Teraz cały sprzęt był w piwnicy, tylko kino domowe zostało na miejscu, dla Kyle'a.

Kyle leżał na nieposłanym łóżku. Ben kupił mu je z kompletem kowbojskiej pościeli, gdy potwierdziło się, że siostrzeniec zostanie z nim na dobre.

Kyle spojrzął z ukosa na poszewki i stwierdził, że są dziecinne. Ben nie potrafił odmówić mu racji, gdy teraz patrzył na słuchawki, z których dobiegała ponura muzyka z obcojęzycznym tekstem, i książkę, której tytuł był chyba po grecku.

- Kiedy nauczycielka dała ci ten list?

Kyle wzruszył ramionami z przerażającą obojętnością.

- Nie dzisiaj? - odgadł Ben.

- Nie dzisiaj.

Ben spojrzął na zegarek i westchnął.

- Idziemy zobaczyć się z panną Maple. Zbieraj się, jesteście spóźnieni.

- Panna Maple nie toleruje opieszałości - powiedział Kyle, ewidentnie przedrzeźniając piskliwy głos nauczycielki.

Wyraźnie był zadowolony z tego, że przysporzył Benowi kolejnych kłopotów.

Ben czuł się jak wojownik idący na spotkanie z nieznanym, gdy podążał za Kyle'em korytarzami szkoły podstawowej Cranberry Corners.

Czeka go bitwa czy rokowania?

Zatrzymał się przed drzwiami, które wskazał mu Kyle, i zmarszczył brwi, gdy zajrzał do środka. Za biurkiem siedziała kobieta. Miękkie wrześniowe słońce opływało jej szczupłe ramiona.

- To chyba nie jest panna Maple.

Kyle zajrzał do sali.

- To ona.

Widok kobiety zupełnie Bena rozbroił, ponieważ okazało się, że nic z tego, co mówił mu Kyle, nie było prawdą. Panna Maple nie była brzydka i nie była stara. Ciekawe, czy okaże się wredna i czy ma piskliwy głos?

W jej klasie Ben również dostrzegł coś rozbrajającego. W rogu stało ogromne drzewo z masy papierowej. Jego gałęzie sięgały sufitu i były obsypane kolorowymi liść-

mi, na których umieszczono imiona uczniów. Na ścianach wisały tablice pełne lśniących gwiazd, rysunków i kopii niezłych obrazów.

Była to przestrzeń naznaczona przez osobę, która kocha swoją pracę. Na podstawie opowieści Kyle'a wyobrażał sobie dotąd matecznik panny Maple jako miejsce ponure, przypominające więzienie.

Pannę Maple również wyobrażał sobie inaczej. W rzeczywistości była bardzo młoda, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Była całkowicie skupiona na dokumentach leżących przed nią na biurku. Miała harmonijne rysy twarzy i śliczną cerę, lekko muśniętą słońcem, bez żadnych zmarszczek. Jej włosy, ściągnięte w koński ogon, miały dokładnie taki sam ciemnozłoty kolor jak miód wielokwiatowy, który Ben trzymał w słoiku na górnej półce.

Oczywiście to nie oznacza, że nie jest wredna. Ben znał mnóstwo ślicznych kobiet, które mimo to nie były miłe. Świadczyły o tym ich lśniące jak lód oczy.

Gdy jednak panna Maple podniosła wzrok, dosłownie utonął w jej łagodnych źrenicach, otoczonych zdumiewającymi tęczówkami o barwie nefrytowo-miedzianej.

W tych oczach nie ma ani odrobiny podłości, pomyślał i uśmiechnął się do niej swoim najlepszym, niefrasobliwym chłopięcym uśmiechem.

Wtedy zaszło coś zdumiewającego. Panna Maple zmarszczyła brwi. Nie wyglądała wrednie, ale Ben zrozumiał nagle, dlaczego ta młoda dziewczyna może onieśmiać jedenastolatka.

- Witam - powiedziała. - Chyba pan zabłądził.

Jej głos wcale nie był piskliwy. Brzmiał jak kościelne dzwonki w chłodny czysty poranek. Oparła się na krzesło i skrzyżowała ramiona na piersi, jakby nagle uświadomiła sobie, że przecież jest całkiem sama w tej części budynku.

Kobiety zazwyczaj się go nie bały, ale fakt, że panna Maple była tu o piątej po południu, oznaczał, że w jakimś sensie się ukrywa. Atmosfera, którą stworzyła w klasie, stanowi najlepszy dowód braku prywatnego życia. Jak długo robi się takie drzewo? Zapewne siedziała tu nad nim całe lato, zupełnie odcięta od świata!

Jaka szkoda, pomyślał Ben, gdy zauważył jej delikatnie zaokrągloną klatkę piersiową, choć zaraz przyszło mu do głowy, że to grzech - myśleć w taki sposób o nauczycielkach z podstawówki.

Choć może to o zakonnicach nie należy myśleć w ten sposób? Tak zresztą panna Maple była ubrana - miała na sobie zapiętą pod szyję, nieskazitelnie białą bluzkę i niegurowany sweter w nieciekawym beżowym kolorze.

Z chęcią zerknąłby na jej nogi, nagle zaintrygowany pytaniem, czy włożyła tego dnia spódnicę czy spodnie, ale biurko całkowicie zasłaniało mu widok.

Wszedł dalej, pochylił się nad biurkiem i wyciągnął dłoń. Nie potrafił wymyślić, jak mógłby się wychylić jeszcze dalej, aby zobaczyć jej nogi, nie strasząc jej przy tym jeszcze bardziej, dlatego się przed tym powstrzymał.

- Nazywam się Ben Anderson, jestem wujem Kyle'a.

Z rozmysłem uśmiechnął się jeszcze radośniej, żałując w duchu, że nie przebrał się po pracy. Miał na sobie rozdarte na kolanie robocze spodnie i zwykły podkoszulek z logo firmy na piersi.

Panna Maple uściśnęła jego dłoń, ale się nie uśmiechnęła. Natychmiast wybił sobie z głowy pomysł przytrzymania jej ręki odrobinę dłużej. Jej uścisk był chłodny i krótki.

- Spóźnił się pan - odparła. - Już miałam wychodzić.

Ben zapomniał nagle, że ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, i poczuł się jak skarcony uczeń. Kątem oka zauważył, że Kyle skulił ramiona, jakby spodziewał się ciosu. Poczł, że nie ma serca, aby go obwiniać za nieprzekazanie mu notki.

- Cóż - oznajmił z wdziękiem - wie pani. Życie.

Najwyraźniej nie wiedziała. I wcale nie była nim oczarowana.

- Kyle, może zejdziesz do biblioteki? Poprosiłam panią Miller, aby zamówiła dla ciebie egzemplarz „Historii Dżyngis-chana”. Obiecała, że zostawi go na biurku.

- Dla mnie? - pisał Kyle, a zdumiony Ben obejrzał się.

Z twarzy chłopca opadła surowa maska, wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać.

Mały chłopiec, pomyślał Ben, który nie zaznał zbyt wiele uprzejmości w swoim krótkim życiu.

Wiedział, że nauczycielka także spojrzała na Kyle'a z troską i czułością, ale gdy odwróciła się z powrotem do niego, jej wzrok był ostrożny i chłodny.

- Proszę usiąść, panie Anderson.

Najwyraźniej dopiero po chwili panna Maple uświadomiła sobie, że w całej sali nie ma miejsca, na którym Ben mógłby usiąść. Ławki były za niskie, a ona zajmowała jedyne krzesło w odpowiednim rozmiarze.

Oczarowany obserwował, jak na jej twarz wypływa rumieniec. Jeszcze raz się do niej uśmiechnął. Może to jedna z tych kobiet, którym podobają się prawdziwi mężczyźni, spoceni i umięśnieni? Napiął ramię tylko odrobinę, aby sprawdzić, czy panna Maple to zauważy.

Zauważyła. Jej twarz spurpurowiała, nagle zaczęła przeglądać jakieś papiery na biurku. Zupełnie zapomniała, że prosiła go, aby usiadł.

- Pana siostrzeniec sprawia pewne problemy, panie Anderson - oświadczyła pośpiesznie, wierząc się nerwowo, aby uniknąć patrzenia na jego mięśnie.

- Ben - odpowiedział jej, mając nadzieję, że ona odwdzięczy się tym samym.

Jednak nie. Zamiast tego przestała przerzucać papiery i zacisnęła usta w wąską kreskę, jednocześnie mierząc go surowym spojrzeniem. Nieco zepsuła efekt, zakładając za ucho zabłąkany kosmyk włosów.

Bena nagle poraziła myśl, że chciałby ją pocałować. Nie był pewien, dlaczego. Może by dotrzeć do pokładów kobiecości, które na pewno panna Maple skrywała pod schludnym ubraniem oraz karcącym wzrokiem?

Była zupełnie inna niż kobiety, które zazwyczaj go pociągały, i nie wątpił, że ona z kolei nie gustuje w facetach takich jak on.

Randka z panną Maple na pewno nie zakończyłaby się w jacuzzi na jej podwórku. A czy ona w ogóle ma jacuzzi?!

Przyglądał się jej uważnie, próbując odgadnąć, czym zajmuje się po szkole. Pewnie robotkami ręcznymi. Może obserwuje ptaki. Na pewno dużo czyta.

Nie, ta kobieta zdecydowanie nie jest w jego typie.

I zapewne dlatego tak go zaintrygowała. Nie był pewien, kiedy dokładnie znudził mu się jego „typ”, do którego kwalifikowało się wiele kobiet - wyrafinowane absolwent-

ki, imprezowiczki, doświadczone rozwódki, nie lubiące zobowiązań i bardzo niezależne karierowiczki. Żadna z nich już od dawna go nie ciekawiła. Na początku nikt tego nie zauważał, ale od jakiegoś czasu kumple z niepokojem śledzili jego samotne powroty do domu.

Skromna nauczycielka stanowiła dla niego wyzwanie. A może po prostu szukał czegoś, co odwróci jego uwagę od własnego życia „do bani”?

Niezależnie od przyczyn, miał teraz ukryty motyw, który sprawiał, że niezmiernie trudno było mu skupić się na słowach panny Maple.

Kontrakt, który Kyle ma podpisać. Wykaz celów, wyzwań i nagród.

- Panie Anderson - powiedziała, ignorując jego propozycję, aby mówiła mu po imieniu. - Pana siostrzeniec ma fatalne wyniki testów. Nie odrabia zadań domowych i nie bierze aktywnego udziału w lekcjach. Podejrzewam jednak, że czyta ze zrozumieniem na poziomie liceum. Jeśli wdrożę ten plan dla niego, będzie to wymagać z mojej strony ogromnej ilości pracy i zaangażowania. Muszę mieć pewność, że będzie mnie pan wspierał w domu i że jest pan gotów poświęcić taką samą ilość czasu i wysiłku.

Ben żył na świecie wystarczająco długo, aby wiedzieć, że należy unikać kobiet, które szafują słowami typu „zaangażowanie”.

Szybko jednak zapomniał o rozsądku.

- Może omówimy ten plan podczas kolacji?

Jego propozycja w ogóle nie wywarła na niej wrażenia. Wręcz przeciwnie - panna Maple wyglądała na zirytowaną.

On też poczuł irytację. Nie tak zazwyczaj reagowały kobiety, gdy zapraszał je na kolację.

Na pewno próbowała zachowywać się profesjonalnie, narzucała dystans po tym, jak przyłapał ją na wpatrywaniu się w jego naprężone mięśnie. Wcale nie była taka odporna, na jaką pozowała.

- Nie chodzę na kolacje z rodzicami uczniów - odparła uszczypliwie.

- Panno Maple, nie jestem rodzicem Kyle'a. Jestem jego wujem.

Znów się zaczerwieniła, ale tym razem Ben był prawie pewien, że z gniewu, nie zaś z powodu jego mięśni.

- Nie chodzę na randki z członkami rodzin moich uczniów - oznajmiła dobitnie.

- Randki? - Ben uniósł brwi ze zdziwieniem. - Pani mnie źle zrozumiała. Nie proponowałem pani randki.

I po tym wszystkim ona ma jeszcze czelność wyglądać na urażoną!

Problem z kobietami takimi jak panna Maple polega na tym, że są one znacznie bardziej skomplikowane niż te, z którymi Ben zazwyczaj się umawiał. Wyzwanie czy nie, powinien brać nogi za pas i uciekać.

Oczywiście tego nie zrobił.

- Myślałem po prostu, że moglibyśmy razem coś zamówić i przejrzeć ten plan dokładnie. - Ben spojrzał na zegarek. - Kyle jeszcze nie jadł, a staram się dbać o to, żeby robił to regularnie.

To akurat było prawdą. Kyle był niepokojąco niski i chudy jak na swój wiek. Był to zapewne rezultat cygańskiego trybu życia, na jaki skazała go Carly. Początkowo buntował się, gdy Ben regularnie gonił go do stołu, ale wkrótce polubił tę rutynę.

Ben podzielił się tą informacją z panną Maple, na której wywarło to ogromne wrażenie.

- Miał ciężkie życie, prawda? - szepnęła.

Na jego oczach rysy jej twarzy złagodniały. Wyglądała dzięki temu bardzo ładnie. Czas na atak. Jeśli teraz ponowi zaproszenie na kolację, ona na pewno się zgodzi.

Ku swojemu zdziwieniu Ben jednak się na to nie zdobył. Z trudem przełknął gulę, która uformowała mu się w gardle. Nie umiałby jej nawet opisać, jak ciężkie życie miał ten dzieciak. Ben czasami zachowywał się jak padalec, ale nie potrafiłby wykorzystać losu Kyle'a, aby osiągnąć jakikolwiek cel.

A celem była randka z panną Maple. Tylko po to, by sprawdzić, jakby się zakończyła. Czuł jednak, że na razie powinien odpuścić. Tej kobiecie autentycznie zależy na Kyle'u, a jego siostrzeniec nie doświadczył dotychczas zbyt wiele troski ze strony dorosłych.

Tak, zdecydowanie musi przemyśleć tę sprawę.

Czego oczywiście nie zrobił. Dał jej numer swojej komórki na wypadek, gdyby chciała się z nim skontaktować w ciągu dnia. Teraz piłka leżała po jej stronie boiska.

Kyle wrócił do sali, kurczowo przyciskając do piersi swoją nową książkę.

- Jak długo mogę ją mieć? - zapytał niegrzecznie.

- Jest twoja - odparła łagodnie panna Maple. - Zamówiłam ją specjalnie dla ciebie.

Kyle spojrział na nią wilkiem.

- Już ją czytałem. Jest głupia. Wcale jej nie chcę.

Ben ugryzł się w język, aby nie zbesztać chłopca za jego zachowanie, niemniej zauważył, że nie zrobiło ono na panie Maple żadnego wrażenia.

- I tak ją zatrzymaj - powiedziała. - Może spodoba się twojemu wujkowi.

Ben posłał jej ostre spojrzenie, pewien, że panna Maple kpi sobie z niego, przekonana, że może mu się podobać jakaś głupia książka. Jej twarz była jednak szczerą.

Znów poczuł podniecający dreszczyk.

- Bardzo ładne to drzewo - stwierdził, wiedząc, jak daleko mogą zaprowadzić człowieka pochlebstwa.

- Dziękuję. Robiliśmy je w zeszłym roku w ramach projektu klasowego.

Musiała zobaczyć w jego twarzy potępienie dla tak frywolnego wykorzystywania czasu do nauki, bo dodała wyniośle:

- To dla nas punkt wyjścia do wielu różnych ćwiczeń z zakresu przyrody, matematyki i angielskiego. „Nie dość nauczyć, trzeba, byś się bawił”. Arystoteles.

W drodze do domu Ben i Kyle wpadli na hamburgera.

- Twoja nauczycielka wcale nie wydała mi się taka stara - stwierdził Ben.

Mógł wybrać jakikolwiek temat do rozmowy, a wybrał właśnie ją, kobietę, która cytowała Arystotelesa. I to ot tak, od niechcienia. Ech, chłopie, powinienes być przerażony, a nie zaintrygowany.

Kyle nawet na niego nie spojrział, tak był pochłonięty swoją nową książką.

- Ty nie masz jedenastu lat.

- Brzydka też nie była.

W końcu podano im burgery. Kyle tak uważał, aby nie poplamić książki, że prawie swojego nie tknął.

- Nie widziałeś, jaką ona robi minę, jak słyszy, że nie odrobiłeś zadania.

- Tak na marginesie, mógłbyś zacząć je odrabiać - powiedział Ben, myśląc o tym, jakie szczęście ma Kyle, mając tak entuzjastycznie nastawioną, pełną troski nauczycielkę. - Jeśli przez miesiąc nie zapomnisz o pracy domowej, kupię nam bilety na mecz Gigantów.

Kyle nawet nie podniósł głowy.

Po kolacji wstąpili jeszcze do szpitala, aby odwiedzić Carly. Spała. Wyglądała tak krucho na wielkim szpitalnym łóżku. Nic dziwnego, że dzieciak nie wykazał żadnego zainteresowania meczem, pomyślał ze smutkiem Ben.

Zupełnie nie potrafił wymyślić sposobu na pocieszenie siostrzeńca. Wyraźnie odczuł swoją niedoskonałość, gdy w końcu wrócili do domu, a Kyle udał się prosto do swojego pokoju, nawet nie mówiąc mu dobranoc i trzaskając za sobą drzwiami. Chwilę później Ben usłyszał ponurą muzykę z niezrozumiałym tekstem.

Nagle poczuł się piekielnie wyczerpany. Jego myśli powędrowały ku panie Maple.

Supertajny dziennik Kyle'a O. Andersona

Kiedyś, gdy byłem mały, mama powiedziała mi, że wujek Ben to pies na baby. Kiedy zobaczyła moją minę, zaśmiała się i wyjaśniła, że to wcale nie znaczy, że się na nie rzuca. To raczej one rzucały się na niego.

Teraz, jak z nim mieszkam, widzę, że to prawda. Obojętne gdzie pójdziemy, jak na przykład dzisiaj do tego baru z burgerami, zaraz obok nas pojawia się kobieta, która wpatruje się w wujka, jakby był smakowitym kąskiem, który jest gotowa pożreć. One mają wtedy taki zabawny wyraz oczu, jak dzieci, które wpatrują się w szczeniaki - jakby były od razu zakochane, choć nie zamieniły z nim ani słowa.

Nieraz widziałem ten wyraz w oczach mamy i dobrze wiem, co on oznacza. Miłość plus mama równa się katastrofa. To u nich pewnie rodzinne.

Lubię dzienniki. Prowadzę je, odkąd znalazłem pamiętnik, który ktoś kiedyś podarował mamie. Miał kluczyk i w ogóle. Dziennik jest jak sekretny przyjaciel, któremu można się ze wszystkiego zwierzyć. Ten, w którym teraz piszę, ukradłem, bo też ma

kluczyk, a poza tym nie chciałem, żeby ktoś się ze mnie śmiał, że go kupuję, choć po wszystkim czułem się źle, bo przecież mogłem powiedzieć, że kupuję go siostrze na urodziny. Co byłoby kłamstwem, bo przecież nie mam siostry. Co jest gorsze: kradzież czy kłamstwo?

Ludzie wielu rzeczy o mnie nie wiedzą, na przykład tego, że nie lubię źle postępować, ale dzięki temu nie wiedzą też, że przez większość czasu tak się boję, że aż wywraca się we mnie żołądek.

Moja mama umiera. Waży jakieś czterdzieści kilo, czyli mniej ode mnie. Z jej rąk sterczą kości i błękitne żyły. Ma w oczach taki wyraz, jakby chciała się zegnać, choć udaje twardą i zapewnia mnie, że wszystko będzie dobrze i że wkrótce wróci do domu. Nawet dzieciak by się domyślił, że to nieprawda.

A ja wcale nie czuję się jak dzieciak. Czuję się tak, jakbym to ja znacznie dłużej opiekował się mamą niż ona mną. Nie żebym jakoś doskonale sobie z tym radził. Spójrzcie tylko na nią.

Moja mama nie jest taka jak te mamy w filmach czy książkach. Za dużo pije i lubi imprezować, a zakochuje się tylko w kompletnych frajerach. Ten teraz ma na imię Larry. Nawet jej nie odwiedza w szpitalu, chyba że przychodzi czek od opieki społecznej i trzeba go podpisać. Wujek Ben przeniósł ją do szpitala bliżej nas i teraz Larry musi jeździć z czekiem autobusem i, ojej, aż dwa razy się przesiadać. Tyle dobrze, że nigdy jej i mnie nie uderzył. Nie to, co poprzedni. Barry. Smutna historia życia mojej mamy.

A oto inny sekret: przeraża mnie myśl, że ona umrze, ale boję się też tego, że mogłaby przeżyć. Niczego po sobie nie pokazuję, ale podoba mi się u wujka. Wszędzie jest tak czysto i zawsze pełno jedzenia, nawet jeśli są tylko te głupie banany i jabłka, a nie chipsy i ciastka.

Czuję się tu bezpiecznie, wiem, co się wydarzy, nie boję się, że w środku nocy znacznie się impreza, ludzie będą wrzeszczeć, tłuc butelki, i skończy się wizytą policji.

Najbardziej boję się tego, że wujek mnie nie polubi. Co się ze mną stanie, jeśli mnie odeśle? Mdli mnie na samą myśl o tym, ale mimo to jestem dla niego strasznie wredny. Moja mama też zawsze taka była. Jak się pojawiał z torbą pełną zakupów, wrzeszczała, żeby spadał, że już za późno i że wcale go nie potrzebujemy, a jak tylko wycho-

dził, trzaskała drzwiami i mówiła: „Dlaczego on nie może powiedzieć, że mnie kocha”, a potem przez tydzień płakała. Ja czuję się tak samo, kiedy jestem dla niego podły.

Kupił pełno nowych rzeczy do mojego pokoju i zostawił mi swój supertelewizor i zestaw stereo. Nigdy wcześniej nie miałem nic nowego. Chciało mi się płakać, kiedy zobaczyłem moją nową pościel i kiedy zostawił tu telewizor, chociaż on nie ma telewizora nawet w swojej sypialni. Może to oznacza, że chciałby, żebym tu został na dobre? Jestem jednak na tyle duży, aby wiedzieć, że nadzieja to bardzo niebezpieczna rzecz. Może dlatego zachowałem się jak wariat i powiedziałem mu, że kowboje są do bani.

Wujek Ben służył w piechocie morskiej. Jest wielki jak góra i pewnie zabił mnóstwo osób. Może nawet gołymi rękami. Nie mogę się przy nim mazać.

W mojej nowej szkole wszystko jest takie nowe i błyszczące. Nie trzeba przechodzić przez wykrywacz metalu. W bibliotece jest mnóstwo książek, ale staram się nie przyzwyczajać. Nie należy łączyć zbyt wielu nadziei z takim cikliwym miejscem jak Cranberry Corners.

Tak samo jest z panną Maple. Jest zbyt dobra, żeby była prawdziwa. Robi dla mnie różne miłe rzeczy, a przez to chce mi się wdrapać na jej kolana jak małe dziecko i płakać, płakać, płakać. Widzicie? Nie mogę się przecież mazać.

Oglądaliście te filmy, w których ludzie żyją w dużych domach na miłych osiedlach, mają golden retrievery i takie podwórka, jak buduje mój wujek? Wszędzie są kwiaty, fontanny i takie tam?

Panna Maple jest mamą z takiego filmu. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, że kiedy wyjdzie za mąż i będzie mieć dzieci, nie będzie żadnych imprez i rozbijania butelek!

Będzie piekła ciasteczka i podawała je przed spaniem ciepłe, z mlekiem. Każdego dnia będzie chciała, żeby się kąpać, a potem położy swoje dzieci do łóżek i będzie im czytała jakieś kretyńskie bajki, na przykład o zółwiach, które mówią.

Będzie miała pełno głupich reguł odnośnie do mycia zębów, mówienia dziękuję i proszę, i opieszalności. Właśnie dlatego zachowuję się tak, jakbym jej nie lubił. Jest mamą, o której marzyłem i której nie dostałem, i źle się czuję, że tak myślę, bo przecież moja mama umiera.

Powiedziałem wujkowi, że panna Maple jest stara, brzydka i wredna, bo byłoby mi łatwiej, gdyby taka była. A poza tym nie chciałem, żeby wypróbował na niej te swoje sztuczki. Kto wie, co by się mogło stać?

Ja lubię wiedzieć, co się stanie. Mdzi mnie na samą myśl, że panna Maple i wujek mogliby się polubić, ale wiem, że istnieje taka możliwość. Zawsze staram się rozważać możliwości, bo nie lubię, gdy życie mnie zaskakuje.

Nie powinienem był mu w ogóle przekazywać tego listu. Kiedy się zobaczyli, było jeszcze gorzej, niż podejrzewałem. Znam to spojrzenie. Tak jest zawsze, jak moje życie robi się całkiem znośne. Tylko ja i mama, a potem to spojrzenie, które ona rzuca jakiemuś frajerowi i zaczyna się równia pochyła. Wujek i panna Maple nie są frajerami, ale jestem przekonany, że to u nas rodzinne. Jestem przeklęty.

Mógłbym ją pewnie odstraszyć. Wujek jest obarczony dzieckiem, najbardziej zepsutym bachorem w jej klasie. Nie jest głupia. Wiedziałyby, co to oznacza. Ale jeśli on zdecyduje się na nią, a mnie się pozbędzie?

Od takich pytań boli mnie żołądek. Postaram się po prostu trzymać ją od nas jak najdalej.

Czy panna Maple zacznie krzyczeć, jak włożę jej żabę do szuflady?

Widziałem jedną, naprawdę dużą, przy sadzawce Migga, jak byliśmy tam na wycieczce. W mojej starej szkole nie chodziliśmy na wycieczki.

Wystarczy tylko pomyśleć o tym, jak złapać żabę, zamiast o tym, że moja mama umiera, że wujek może mnie oddać, a sprawy pomiędzy nim a panną Maple mogą się rozwinać, a żołądek przestaje mnie boleć i w końcu mogę iść spać.

Ale nie będę gasił światła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Odsuwając górną szufladę biurka, Beth Maple usłyszała stłumiony chichot. Szukała nagrody dla Mary Kay Narsunchuk, która wygrała tygodniowy konkurs ortograficzny.

Przez cały konkurs kątem oka Beth przyglądała się Kyle'owi O. Andersonowi, który ze znużeniem patrzył przez okno, zupełnie nieświadom tego, że jego wargi za każdym razem bezbłędnie składają się w słowo, którym Beth starała się zaskoczyć uczniów.

Gdy jednak wzywała go do odpowiedzi, chłopak tylko marszczył brwi i zwieszał głowę.

Był to i tak postęp w stosunku do konkursu z zeszłego tygodnia. Ilekroć wtedy wezwała go do odpowiedzi, literował słowa, ale nie te, o które prosiła.

Tym razem natomiast zachowywał się podejrzanie poprawnie. Jako optymistka miała nadzieję, że to wynik poważnej rozmowy, którą przeprowadził z nim wuj, część planu, który mieli razem wprowadzać.

Chwila nieuwagi, którą poświęciła na myśli o Benie Andersonie sprawiła, że z opóźnieniem zareagowała na chichot. Jej mózg wysłał do ręki ostrzegawczy sygnał, ale nie zdążył na czas.

Z szuflady buchnęło coś zielonego i otarło się o jej dłoń - było gąbczaste i ohydne. Beth zrobiła coś, czego nigdy nie powinna robić nauczycielka piątej klasy.

Krzyknęła, a potem objęła się ramionami i przykryła dłonią usta, po czym z odrazą spojrzała na największą żabę, jaką kiedykolwiek widziała.

To tylko żaba, napomniała się surowo, ale i tak znów krzyknęła, gdy płaz skoczył w jej stronę. Usłyszała, jak Kyle chichocze z uciechy. W klasie zapanowało istne pan-demonium.

Dwunastu młodych rycerzy rzuciło się na pomoc swojej nauczycielce, czyli damie w potrzebie. Przewodził im Casper Hearn, duży chłopak, który rzucił się w pościg za żabą, roztrącając po drodze ławki i rozhisteryzowane dziewczęta. W całym tym zamieszaniu to jednak Kyle ujął zwierzątko i przyciskał je teraz mocno do piersi z pobladłą twarzą, na tle której wyraźnie odcinały się piegi.

Inni chłopcy ciasno go otoczyli.

- Oddaj mi żabę - nakazał Casper z groźbą w głosie.

- Już raz cię ostrzegałem, że masz się trzymać ode mnie z daleka - odparł Kyle.

Ostrzeżenie to zapewne odniosłoby skutek, gdyby nie fakt, że głos Kyle'a drżał, a Casper ważył o dobre dziesięć kilo więcej od niego.

Casper się roześmiał.

- Ojej. Bo jak nie, to co?

- Sprawię, że korytarze spłyną tłuszczem z waszych topiących się ciał! - krzyknął Kyle, wsuwając żabę pod koszulę.

Casper cofnął się zdumiony. W sali zapadła głucha cisza. Kyle posłał Beth przepaszające spojrzenie i wybiegł za drzwi.

Gdy nie wrócił po dłuższej chwili, uświadomiła sobie, że musi teraz zawiadomić Bena Andersona, że zgubiła jego siostrzeńca. A oddałaby wszystko, by nie musieć nigdy więcej z nim rozmawiać.

Ben Anderson był typem mężczyzny, który powinien być oznakowany odpowiednią plaketką. Uwaga, potencjalne niebezpieczeństwo.

Nie spotkała dotąd faceta, który byłby tak niewiarygodnie seksowny. Ben Anderson był ucieleśnieniem męskiej siły. Wszystko w nim, od idealnie umięśnionego ciała po rysy twarzy, fascynujące z powodu garbka na nosie, który wskazywał na złamanie, promieniowało życiową energią.

Był silny i pewny siebie, ale ogień, który tańczył w jego zielonych oczach, chronił go przed arogancją. Jego wzrok był pełen ciepła i uśmiechu.

Za tym śmiechem i ironicznym wygięciem warg coś się jednak kryło. Ben Anderson miał tajemnice, które nie ujmowały mu atrakcyjności, a wręcz przeciwnie - czyniły go jeszcze bardziej intrygującym, otaczając go aurą zmysłowości.

Zdecydowanie miał w sobie to coś, na widok czego kobietom miękła kolana.

I w dodatku doskonale o tym wiedział.

Beth była w pełni świadoma tego, że dotychczasowe życie nie przygotowało jej na kontakt z kimś takim. Mężczyzn jego pokroju nie spotykała zazwyczaj na uniwersyteckich kampusach. Nie, tacy jak on jeździli w odległe niebezpieczne miejsca. Nawet gdyby

Kyle nie wspomniał kiedyś mimochodem, że jego wuj służył w piechocie morskiej, wyczułaby w nim to coś, co wyróżnia go na tle reszty.

Gdy jego oczy spoczęły na jej twarzy, poczuła, jak wzbiera w niej niechciany dreszcz, małe trzęsienie ziemi.

Nie cierpiała tego uczucia i to zapewne tłumaczyło jej reakcję. Zaczęła zachwalać mu walory edukacyjne drzewa z masy papierowej i cytować Arystotelesa! Czy inna kobieta zachowałaby się tak w obecności takiego faceta?

Ona jednak od zawsze uwielbiała mieć kontrolę nad sytuacją, a jeden jej szalony, zupełnie do niej niepodobny wyskok tylko utwierdził ją w tym przekonaniu, naznaczając ją upokorzeniem i złamanym sercem.

Była doskonale wykształcona, ostrożna, konwencjonalna, konserwatywna, a jednak zakochała się w człowieku poznanym przez internet.

Jej ukochany, Rock Kildore, okazał się być kompletną fikcją. Jak to możliwe, że nie domyśliła się po samym imieniu?! „Rock” tak naprawdę nazywał się Ralph Kamin-sky i był pięćdziesięciodwuletnim żonatym urzędnikiem pocztowym z Tarpool Springs w stanie Missisipi. Nie był natomiast błyskotliwym komputerowcem z Oakland, który większość czasu spędzał w Abu Dhabi i twierdził, że po uszy zakochał się w zwyczajnej nauczycielce.

Przez cały rok jednak Beth wierzyła w to, w co desperacko pragnęła uwierzyć, wymieniała płomienne listy i żyła od jednego e-maila do drugiego. Oczami wyobraźni już widziała dzień, w którym pokonują wszelkie przeszkody związane z jego cygańskim trybem życia i żyją długo i szczęśliwie.

Na tyle straciła głowę, że wierzyła bez zastrzeżeń we wszystkie jego wymówki i reagowała irytacją na ostrzeżenia rodziców i znajomych. Jako najmłodsza w rodzinie nie chciała być traktowana jak dziecko, które nie potrafi się zdobyć na mądrą decyzję.

Gdy jej wirtualny romans zakończył się katastrofą, z radością wróciła do swoich starych przyzwyczajzeń. Musiała znów udowodnić, że jest dojrzała, racjonalna, profesjonalna, cicha i opanowana. Zawsze taka była, a głowę straciła przecież tylko na chwilę. To były cechy, które czyniły z niej doskonałą nauczycielkę.

A nic więcej jej nie pozostało. Całą swoją miłość zamierzała przelać na uczniów, a pasją chciała zamienić piątą klasę w radosne, godne zapamiętania doświadczenie. I postanowiła zrezygnować z ciągłego szukania aprobaty swych rodziców, którzy wcale nie wydawali się szczęśliwsi, gdy oznajmiła, że pozostanie sama do końca życia, niż wtedy, gdy dowiedzieli się o Rocku.

Wystarczyło jednak jedno spojrzenie Bena Andersona, aby zachwiać jej postanowieniem. Wiedziała, że gdyby taki mężczyzna dotknął jej ust, uległaby mu od razu.

Jeszcze bardziej upokarzający niż ta świadomość był fakt, że on doskonale o tym wiedział! Poznała to po nikłym uśmiechu, który wykrzywił jego usta i po tym, jak przytrzymał jej dłoń odrobinę za długo, gdy podawał jej swoją wizytówkę.

Ben Anderson ewidentnie ma na koncie setki podbitych serc. I pewnie wszystkie co do jednego złamał.

Gdy wręczał jej wizytówkę na wypadek, gdyby chciała się z nim skonsultować, wyczuła, że oczekuje, aby wymyśliła jakiś pretekst i skorzystała z niego jak najszybciej.

I oto teraz faktycznie wykręcała jego numer, ale sytuacja w pełni usprawiedliwiała jej czyn. A z drugiej strony częściowo był jej obojętny powód tego telefonu - chciała tylko usłyszeć głos Bena i porównać go ze wspomnieniami. Przecież żaden facet nie może mieć tak seksownego głosu. On jednak miał.

W tle pracowała jakaś maszyna, a Ben odpowiedział na jej powitanie niecierpliwie, choć mogłaby przysiąc, że w istocie się ucieszył.

- Panie Anderson, Kyle zaginał.

- Proszę powtórzyć, nie usłyszałem.

- Kyle uciekł! - krzyknęła, a w tej samej chwili ktoś wyłączył urządzenie.

Cisza była ogłuszająca, dlatego pospieszyła ją zappełnić. Zreferowała mu pokrótce incydent z żabą. Ben słuchał jej w milczeniu.

- A potem wybiegł - zakończyła. - Szukałam we wszystkich jego kryjówkach, pod trybunami w sali gimnastycznej, w szatni, w schowku woźnego. Nigdzie go nie ma.

- Dziękuję, że mnie pani zawiadomiła. Proszę się nie martwić - odparł i od razu się rozłączył.

Nie wiedziała dlaczego, ale te słowa podniosły ją na duchu. Na Benie Andersonie można polegać. Napomniła się surowo, że to absolutnie idiotyczne: wyciągać takie wnioski z jednego spotkania i dwóch rozmów telefonicznych, ale to nie pomogło. Gdyby znaleźli się na tonącym statku, to z nim chciałaby wsiąść do szalupy.

I dopłynąć do bezludnej wyspy.

Spędziła kilka chwil na rozkoszowaniu się tą wizją. Ona i Ben Anderson na bezludnej wyspie. Na chwilę całkiem zapomniała, że zgubiła jednego ze swoich uczniów! To wystarczyło, aby przypomniawszy sobie, że to właśnie wybujała wyobraźnia wpędziła ją kiedyś w kłopoty.

Godzinę później w drzwiach jej klasy stanął Ben. Na sam jego widok odetchnęła z ulgą, choć jego twarz była ponura, a Kyle'a nie było w pobliżu.

- Znalazłeś go? - zapytała.

- Jeszcze nie. Myślałem, że poszedł do domu, ale nie ma go tam. - Miał spokojny głos, co jeszcze bardziej utwierdziło ją w przekonaniu, że na tym człowieku można polegać, oprzeć się na nim.

Bez ostrzeżenia przesunął palcem po jej brwi.

- Nie martw się, nic mu nie będzie.

- Skąd wiesz?

Zadrzała lekko, boleśnie świadoma, że nie ma to nic wspólnego z zaginięciem dziecka oddanego pod jej opiekę, lecz raczej z szorstką skórą dłoni Bena na jej czole.

- Kyle musiał się o siebie troszczyć w znacznie gorszych okolicznościach przez bardzo długi czas. Nic mu nie jest.

Powiedział to z całkowitą pewnością. Cofnął rękę, spojrzał na nią i zmarszczył brwi, jakby palce same jej dotknęły, bez jego pozwolenia. Włożył rękę do kieszeni, a Beth przeszedł dreszcz na myśl, że ten przelotny kontakt mógł wstrząsnąć nim równie mocno jak nią.

- Jeśli nie ma go w domu, to dokąd poszedł? - zapytała.

Na nieostrożnego nastolatka czyha mnóstwo niebezpieczeństw. Przez półtora tygodnia, które Kyle spędził w jej klasie, nie zauważyła w nim cechy zwanej ostrożnością.

Rzecz jasna, jego wuj wyglądał tak, jakby nie przeżył bezpiecznie ani jednego dnia.

- Właśnie się zastanawiam. Kyle nie zna jeszcze dobrze Cranberry Corners. Ukrywa się? Myśli, że naprawdę ma kłopoty?

- Nie chodzi tylko o żabę - oznajmiła Beth i powtórzyła mu straszną deklarację chłopca.

- Sprawię, że korytarze spłyną tłuszczem z waszych topiących się ciał? - powtórzył Ben.

Beth nie potrafiła odgadnąć, czy jest zbulwersowany czy rozbawiony.

- Tak powiedział?

- Czy twoim zdaniem groził, że podpali szkołę? - szepnęła.

Ben się roześmiał.

- Skąd. To przerażony mały chłopiec. Użył głowy, aby odegrać się na prześladowcy, no i podziałało. Ciekawe, gdzie to usłyszał?

Ulżyło jej, że nie zna tych słów od wuja!

- Może wyczytał w biografii Dżyngis-chana?

- Bingo! - zawołał, patrząc na nią z podziwem. - Może mogłabyś użyć siły dedukcji i zgadnąć, gdzie on w takim razie się podziewa.

- Ty znasz go lepiej ode mnie.

Przez jego twarz przemknęło z wątpienie. Spojrzał na nią z namysłem.

- Powiedziałaś, że zabrał ze sobą tę żabę?

Kiwnęła głową.

- Inni chłopcy ją chcieli, ale Kyle jej nie oddał?

To śmieszne, że tak ją cieszy to, jak uważnie Ben jej słucha. Z łatwością mógłby pokonać mur, który wzniosła wokół siebie po ostatniej katastrofie!

- Załóżmy więc, że przejął się jej losem. Może chciał ją odnieść tam, skąd ją wziął?

To ma sens. Beth żałowała, że sama wcześniej o tym nie pomyślała.

- W zeszłym tygodniu byliśmy na małej wycieczce krajoznawczej nad sadzawką Migg. To niedaleko stąd. Poszliśmy pieszo.

- Na pewno znajdę drogę.

Była o tym przekonana, zamierzała jednak mu towarzyszyć. Nie po to, aby spędzić z nim więcej czasu i nie dlatego, że czuła się przy nim krucha, mała i delikatna.

Nie chodzi przecież o Bena ani o żabę, lecz o dziecko, które mimo że wychowywało się na ulicy, wciąż jest tylko dzieckiem. Ktoś musi mu to uświadomić. Kyle musi się dowiedzieć, że oni po niego przyjdą, kiedy zgubi drogę.

- Wezmę tylko kurtkę i buty.

Buty były ohydne. Stanowiły jasny dowód tego, że jest obojętna na wrażenie, które wywarł na niej Ben Anderson. Każda inna kobieta zapewne prędzej by umarła, niż pokazała mu się w spódnicy i gumowych botkach.

- Nad stawem jest mokro - oznajmiła, zadowolona ze swojego racjonalnego podejścia. Zmierzyła nawet belferskim wzrokiem jego buty.

- Ja się nie boję, że przemoknę - stwierdził głosem, który powiedział jej, że Ben ma za sobą przeżycia, po których tak drobne niedogodności nie robią na nim żadnego wrażenia.

Tego dnia Beth miała na sobie spódnicę w szkocką kratę, która teraz nie wydawała się jej tak ładna jak rano, gdy ją wkładała. Czarne kalosze z czerwonymi noskami, które trzymała w szafce tylko na wypadek wycieczek, wyglądały przy niej okropnie, ale skoro wybierali się na mokradła, a ona nie zamierzała wywierać na nikim wrażenia, doskonale pasowały do okazji.

Gdy jednak zobaczyła roześmiany wzrok, którym Ben zmierzył jej strój, poczuła, że niepotrzebnie tak stara się pokazać, że nie liczy się z jego opinią. Przecież nic by się nie stało, gdyby zniszczyła jedną parę butów!

- Podoba mi się nazwa twojej firmy - powiedziała, aby odwrócić jego uwagę od tej gumowej katastrofy. - Bardzo oryginalna.

Spojrzał na swoją pierś i uśmiechnął się.

- Cóż, ukradłem ją.

- Słucham?

- Zobaczyłem ją kiedyś na szyldzie w małym miasteczku, przez które przejeżdżałem. Zapadła mi w pamięć.

- Nazw się chyba nie kradnie. To tak jakbyś powiedział, że moja mama ukradła imię ciotce Beth, gdy mi je nadała.

- Beth - powtórzył zadowolonym głosem, jakby zdradziła mu sekret, który od dawna chciał poznać.

Poczuła płynący wzdłuż kręgosłupa dreszcz. Takim tonem zapewne wypowiedziałby jej imię tuż przed tym, nimby ją pocałował. Albo gdyby starał się zaciągnąć ją do łóżka, obiecując rozkosz, lecz nic więcej.

Rzuciła mu nieufne spojrzenie, ale on patrzył prosto przed siebie, rozglądając się po terenie szkoły i nieużytkach rozciągających się za ogrodzeniem.

- Staw jest dalej - oznajmiła. - Dzieciom nie wolno chodzić tam bez opieki.

Jęknął, chyba z rozbawieniem.

- Czyżbyś był jedną z tych osób, które za nic mają zasady?

- Ależ skąd - odparł z jeszcze większym rozbawieniem.

- Na pewno tak! Przecież widzę.

- A niby jak?

- Potrafię sobie wyobrazić ciebie w piątej klasie. Z łatwością. Taki zakaz był dla ciebie pewnie nieodpartą pokusą.

- Nie zaprzeczę.

- Podrzucałeś nauczycielkom żaby do szuflady?

- Tylko tym, które naprawdę lubiłem.

- Wątpię, aby Kyle mnie lubił - orzekła po chwili zastanowienia.

- Ja bym cię lubił w piątej klasie, ale nie dałbym nic po sobie poznać. Tylko frajer może lubić nauczycielkę.

Jak mogło jej pochlebiać to, że lubiłby ją w piątej klasie? Przecież to wcale nie oznacza, że lubi ją teraz. Tylko osoba bez krzty dumy przykładałaby jakąkolwiek wagę do takich deklaracji.

- Skąd wiesz, że byś mnie lubił? Jestem bardzo surowa, więc niektóre dzieci myślą pewnie, że jestem wredna.

Ben prychnął, próbując z całych sił się nie roześmiać.

- Naprawdę jestem! Zawsze tak zaczynam rok, żeby nie stracić szacunku! Potem można trochę złagodnieć, jeśli zachodzi potrzeba. - Mówiła tak, jakby cytowała podręcznik dla nauczycieli, a Ben Anderson wydawał się w ogóle tym nieprzekonany!

- Cóż, ja bym cię lubił, bo jesteś urocza. I młoda. I najwyraźniej przejęta ideałami Arystotelesa, a to oznacza, że mógłbym robić na lekcjach fajne rzeczy, takie jak jesienne liście z moim imieniem, które mógłbym potem powiesić u sufitu.

Nie wykorzystał kwestii drzewa po to, aby jej pochlebić. Naprawdę mu się podobało, w przeciwnym razie nie zauważyłby tylu detali. Nie może pozwolić, aby to ją zmiękczyło.

Był żołnierzem piechoty morskiej. Na pewno szkolono go, aby zauważał szczegóły.

Dotarli do stawu. Tak jak go ostrzegła, okolica była wilgotna i błotnista.

Jednak to nie on się pośliznął i stracił równowagę. Nagle poczuła na łokciu jego dłoń.

Pod wpływem jego silnego chwytu znów poczuła się krucha i kobieca. Wyczuła przyjemne łaskotanie w miejscu, w którym jego palce zetknęły się z jej skórą.

Zatrzymała się i wyswobodziła z jego uścisku, a potem odeszła kilka kroków, aby móc belferskim wzrokiem zlustrować okolicę.

Miała dobre intencje, potraktowała Kyle'a jako priorytet, ale przebywanie z Benem okazało się dla niej zbyt dużym wyzwaniem.

- Nie ma go tu - powiedziała. - Chyba trzeba wracać.

Ben przechylił głowę i zaczął nasłuchiwać.

- Jest - szepnął.

Rozejrzała się. Nic się nie poruszało, nawet źdźbła traw.

- Skąd wiesz?

Wskazał czubkiem buta odcisk tenisówki.

- Jest świeży, sprzed mniej więcej godziny. Tak jak to. - Jego dłoń powędrowała do ułamanej gałązki krzewu rosnącego przy ścieżce.

Nawet nie chciała wiedzieć, skąd on to wszystko wie. Nie chciała słuchać o życiu wojownika, które wiódł, wyszkolonego, aby zauważać rzeczy, które innym umykają. Nie

chciała wiedzieć, ile twarzy kryje w sobie ten pewny siebie człowiek. A może jednak chciała? Może pragnęła się o nim dowiedzieć absolutnie wszystkiego?

- Cóż - oznajmiła radośnie - teraz już na pewno dasz sobie radę. Ja porozmawiam z Kyle'em jutro.

- Okej.

- Pójdiesz jego śladem? - zapytała, gdy się nie poruszył.

- Wolałbym, aby to on przyszedł do nas.

Do nas? Przecież wyraźnie mu powiedziała, że wraca.

- Zawołasz go?

- Nie, poczekam. On wie, że tu jesteśmy.

- Wie?

- Uhm.

Przecież może już odejść. Powinna zrobić w tył zwrot. Czowała jednak potrzebę, aby zrezygnować na chwilę z ostrożności. Chciała zobaczyć ten moment, pobyć jeszcze parę minut w towarzystwie mężczyzny, który instynktownie czuł, że nie powinien uganiać się za przerażonym dzieciakiem, lecz zaczekać.

Ben zdjął kurtkę, rozłożył ją na wilgotnej ziemi i poklepał lekko, jakby ona nigdy nie zadeklarowała, że odchodzi, a on sam nie powiedział „okej”.

Coś w niej westchnęło, poddało się. Opadła na kurtkę, a on kucnął przy niej. Był tak blisko, że czuła zapach jego mydła i rozgrzanej jesiennym słońcem skóry.

- Może opowiesz mi o sobie coś interesującego?

Spojrzała na niego z ukosa. Sytuacja stawała się niepokojąco intymna.

- Nasze definicje czegoś interesującego są na pewno diametralnie różne - odparła wymijająco.

- O, na pewno - zgodził się. - Powiedz.

Nagle uświadomiła sobie, że Ben chce, aby Kyle usłyszał, że normalnie ze sobą rozmawiają, bez gniewu i zdenerwowania, i nie o nim.

- Ty pierwszy - powiedziała, czując pustkę w głowie.

- Lubię ocean i ciepłą pogodę - oznajmił, nie patrząc na nią. - Lubię fale, łodzie, pływanie, surfowanie i łowienie ryb. Lubię zmienność morza. Stacjonowałem przez jakiś czas na Hawajach i nadal za tym tęsknię.

Z całych sił starała się zachować spokój. Ten obraz niepokojąco przypominał jej wizję bezludnej wyspy. Mogła go sobie ze zdumiewającą jasnością wyobrazić na brzegu morza, gdy słońce i sól całują jego brązową skórę, a biała piana fal muska twarde mięśnie jego łydek.

- Czasami pływałem nocą. Woda i niebo były tak czarne, że nie było pomiędzy nimi żadnej granicy. To jak pływanie w gwiazdach.

- Pewnie zimno - rzuciła, próbując obronić się przed sceną, którą tworzył.

- Nie, wcale nie jest zimno. Nawet w chłodniejsze dni ocean zachowuje stałą temperaturę. Nie jak woda do kąpieli w wannie, ale jak... jak jedwab, który owiewa wiosenna bryza.

Nie wyglądał na mężczyznę, który odróżnia jedwab od flaneli, na pewno jednak umiałby to zrobić. Przecież najdelikatniejsza bielizna jest szyta właśnie z jedwabiu, a na tym polu Ben Anderson ma zapewne ogromne doświadczenie.

- Spadochrony.

- Słucham?

- Spadochrony szyje się z jedwabiu.

Jakby czytał jej w myślach! Miała nadzieję, że nie ponowi pytania o jej interesujące doświadczenia. Nie miałyby nic do powiedzenia człowiekowi tak doskonale obeznanemu z pływaniem w nocy, jedwabiem i wyskakiwaniem z samolotów.

- Pływałaś kiedyś nocą, Beth?

Miała nadzieję, że się nie czerwieni. To niesprawiedliwe. Kompletnie niesprawiedliwe. Nie mogła nawet go poprawić, przypomnieć, że nie może jej mówić po imieniu. Bo chciała, aby nazywał ją Beth i chciała pływać w ciemnościach. Uciec i kupić jedwabną bieliznę. I może zapisać się na kurs spadochronowy.

Problem z takimi facetami polega na tym, że nawet osobę żyjącą zupełnie normalnym satysfakcjonującym życiem potrafią skłonić do odczuwania niezaspokojonej, palącej tęsknoty za czymś więcej.

Ta tęsknota sprawiła, że już raz zapomniała o ostrożności. Źle się to dla niej skończyło i tym razem byłoby tak samo.

Ben Anderson, pogromca niewieścich serc, przypomniała sobie.

- Nie - wykrztusiła w końcu. - Nigdy nie pływałam nocą. - Zabrzmiało to jak wyznanie.

- Szkoda - odparł i spojrzał na nią ze współczuciem.

Nagle zaczęła się zastanawiać, czy pływał wtedy w kąpielówkach.

To także mogłaby dodać do listy rzeczy, których nigdy nie robiła. I nigdy nie robi, bo ma na to za dużo szacunku do samej siebie!

- Nie chciałeś tam zamieszkać? Na Hawajach?

- Mógłbym.

- To dlaczego tego nie zrobiłeś? - Zabrzmiało to jak oskarżenie. Czują, że jej życie byłoby znacznie bezpieczniejsze i przewidywalne, gdyby Ben dokonał takiego wyboru. Wtedy na pewno by tu nie siedziała i nie tęskniła za szaleństwem zmysłów!

Daj spokój, napomniała się, zrobisz sobie kąpiel z bąbelkami, jak wrócisz do domu.

- Dorastałem tutaj. Tu była moja siostra - powiedział miękko. - I Kyle.

Nagle zarośla w pobliżu zaszeleściły. Beth uświadomiła sobie, że Kyle cały czas był tuż obok i słuchał ich rozmowy. Jak mogła tego nie zauważyć?

Spojrzała na chłopca.

- O, Kyle. Tu jesteś! Szukaliśmy cię.

Kyle podszedł do nich opieszale. Co za ulga! Znaleźli go, był bezpieczny, a ona nie będzie musiała już opowiadać jego wujkowi interesujących rzeczy o sobie.

Tak jakby mogła wymyślić coś, co mogłoby się równać z pływaniem nocą na Hawajach!

Ben wstał i się przeciągnął. Kyle przyspieszył. Widać było, że czuje ulgę, że został odnaleziony, a wuj się na niego nie gniewa. Beth usłyszała, jak Ben mówi siostrzeńcowi dokładnie to, co powinien był usłyszeć.

Zrozumiała nagle, że Ben Anderson instynktownie wie, jak powiedzieć i zrobić właściwą rzecz. Jest mężczyzną, który ufa swoim przeczuciom. Dziecko takie jak Kyle właśnie tego potrzebuje.

I kobieta taka jak ja też tego potrzebuje, przemknęło jej przez myśl.

Błąd, powiedziała sobie. On potrafiłby zamienić mokradła w bezludną wyspę. Ona w nieistniejącej osobie widziała księcia w lśniącej zbroi.

Nie będzie więcej ryzykować. Dostała nauczkę. Będzie się trzymać nauczania, a całą miłość przeleje na uczniów, których z każdym rokiem będzie przybywać.

W jej głowie pojawiła się niepokojąca wizja: ona sama, z białymi włosami zwiniętymi w schludny kok, poprawia klasówki, trzymając kota na kolanach.

Odepchnęła ten obraz i wstała. Wilgoć przeniknęła kurtkę, którą Ben rycersko rozpostarł na ziemi.

- Cóż - oznajmiła radośnie, próbując ukryć przemoczoną spódnicę. - Dziecko się znalazło, kryzys zażegnany. Do widzenia.

Co za brak profesjonalizmu! Powinna przecież omówić z Kyle'em wydarzenia tego dnia. Chłopiec musi ponieść konsekwencje za podłożenie jej żaby do szuflady. Za groźby. I ucieczkę ze szkoły.

Po raz ostatni spojrzała na Bena, wiedząc, że popełnia błąd. Patrzył na nią swoimi rozbawionymi niebiesko-zielonymi oczami i wykrzywił w uśmiechu wargi. Odwróciła się i odeszła.

Wiedziała, że jego rozbawienie pogłębiło się na widok jej spódnicy.

- Hej, Beth? - zawołał za nią.

Obejrzała się niechętnie, chcąc mu powiedzieć, że dla niego jest panną Maple, zwłaszcza przy dzieciach, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Minęli już ten etap bez jej pozwolenia, gdy słuchała jego opowieści o pływaniu w ciepłym Pacyfiku pod gwiazdami.

Miała tylko nadzieję, że nie przypomni jej o obowiązkach, o tym, że powinni porozmawiać z Kyle'em.

Nie, to było znacznie gorsze.

- Powinnaś wziąć kąpiel z bąbelkami, gdy wrócisz do domu. Rozgrzejesz się.

Była dla niego jak otwarta księga. On na pewno wie, że jego opowieści o Hawajach obudziły w niej ukryte tęsknoty. Ruszyła przed siebie tak energicznym krokiem, że prawie się potknęła.

Usłyszała za sobą dudniący śmiech, ale więcej się nie odwróciła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Supertajny dziennik Kyle'a O. Andersona

Jejku, ludzie są tacy głupi. Nawet panna Maple, którą jeszcze wczoraj uważałem za całkiem mądrą. Czekala na mnie, gdy przyszedłem do szkoły. Musiałem wysłuchać nudnego wykładu na temat mówienia rzeczy, które mogą zostać opacznie zinterpretowane. Tak ciężko wydedukować, że chłopak, który martwi się o żabę, nie podpaliłby szkoły?

Przecież powiedziałem tak tylko dlatego, że poprzedniego wieczoru przeczytałem to zdanie w „Historii Dżyngis-chana”. Dżyngis-chan oblegał miasta, a potem dawał im możliwość poddania się. Jeśli z niej nie skorzystały, burzył wszystko do gołej ziemi i palił, aż ulice spływały rzekami tłuszczu z ludzkich ciał. To stąd wzięło się określenie „gniew Dżyngis-chana”. Nawet Casper, który jest naprawdę głupi, to rozumie.

Panna Maple jest głupia inaczej niż on. Widziałem wyraz jej twarzy, gdy wczoraj żegnała się z wujkiem. Tego akurat nie dałoby się opacznie zinterpretować. Była cała różowa i zdenerwowana.

A on wołał za nią, żeby wzięła kąpiel z bąbelkami. Jeśli chcesz się przekonać, czym jest prawdziwe upokorzenie, namów swojego wujka, aby zaproponował twojej nauczycielce kąpiel z bąbelkami. I jeszcze zaczął do niej mówić po imieniu.

Nie myślałem o tym wiele, ale przeczuwałem, że jakoś tak będzie mieć na imię: Beth, Molly albo Emily.

Miałem nadzieję, że żaba ją odstraszy, ale ten plan nie do końca wypalił. Wylądowała z wujkiem Benem przy stawie Migg. Pełno tam błota i komarów, ale oni zachowywali się tak, jakby siedzieli przy kolacji w pięciogwiazdkowym hotelu.

Nie wiedziałem, że wujek Ben wrócił tu dla mamy i dla mnie, choć przecież to może być kłamstwo. Założę się, że on doskonale wie, jak wkupić się w łaski kogoś tak głupiego jak panna Maple.

Jeśli się zejdą, zostanę z niczym. Nikt by nie chciał, żeby pod nogami plątał mu się jakiś głupi jedenastolatek i przeszkadzał w całowaniu. Wiem, o czym mówię. Już przez to przechodziłem. Z Larrym i Barrym.

Żaba była beznadziejna. Może nie tak całkiem beznadziejna, bo dalej ją mam. Nie jest to jakieś superzwierzątko, nie to co pies czy koń, ale nie potrafiłem jej wypuścić. Robi się coraz zimniej, a ja nie wiem, co się dzieje z żabami zimą. Nie chciałbym, żeby umarła. Dokąd by wtedy poszła? Mam wątpliwości co do nieba. Nawet jeśli istnieje, pewnie nie wpuszczają do niego żab. Nie wiem nawet, czy wpuszczą moją mamę. Nigdy nie chodziła do kościoła i strasznie przeklina.

Panna Maple ma najgłupszy samochód pod słońcem. To czerwony volkswagen garbus, który ma chyba ze sto lat. Ona uwielbia to auto. Widać, jak o nie dba i jak jeździ z zadartym nosem.

Gdybym naprawdę chciał, żeby mnie znienawidziła, mógłbym coś zrobić z tym samochodem. Może mógłbym ją nawet przekonać, że to sprawka wujka.

Muszę się jeszcze nad tym zastanowić. Wujek pewnie odbierze mi żabę, jeśli zrobię coś okropnego tej jego Beth. Nie wiem, co zrobiłby z żabą człowiek, który zabijał gołymi rękami, ale i tak lepiej by jej było z nim niż w tłustych łapskach Caspera Hearn.

Mam nadzieję, że nie będę musiał nic robić z samochodem panny Maple. To będzie moja ostatnia deska ratunku. Nie przez wzgląd na Kermita. Nie jestem na tyle głupi, aby przywiązywać się do żaby.

Po prostu nie chciałbym, żeby mnie za bardzo znienawidziła.

Całkiem nieźle to wygląda, pomyślał Ben, spoglądając na wyświetlacz telefonu. Beth Maple znów do niego dzwoni. Drugi raz w ciągu dwóch dni.

Nie był tylko pewien, czy rozmowa z wczoraj się liczy - w końcu zaginał jego bratanek. Zapewne w takich okolicznościach Beth Maple ma obowiązek dzwonić do opiekunów uczniów.

Jaki teraz miałaby powód? Przecież nie może dojść do dwóch kryzysowych sytuacji w tak krótkim czasie.

Może chce opowiedzieć mu o swojej kąpieli w pianie? Roześmiał się na samą myśl. To byłoby do niej takie niepodobne. Chyba że zrobiłaby to specjalnie dla niego.

Pomyślał o jej ustach, zaczął się zastanawiać, jak smakują i nagle poczuł zawrót głowy oraz coś w rodzaju rumieńca. Niemożliwe. Nikt się nie czerwieni po ośmiu latach służby w piechocie morskiej.

Chyba że niewinność Beth jest zaraźliwa.

Dlaczego na tę myśli ogarnęła go taka tęsknota?

Prawda była taka, że on także przeżył już wystarczająco wiele tragedii: stracił rodziców w młodym wieku, stracił siostrę na długo przed tym, zanim lekarz powiedział mu, że umiera; pochował mężczyznę, który był mu bratem.

Nie mógł tego tak po prostu za sobą zostawić. Nie mógł wrócić do tego nierozważnego otwartego chłopaka, którym kiedyś był.

Nagle naszło go nieproszone wspomnienie. Matka wsiadająca do samochodu, posyłająca mu całusa i szepcząca: „kocham cię”. Miał siedemnaście lat i nie życzył sobie, by wykrzykiwała te słowa na całą ulicę.

Od tamtego czasu ich nie wypowiedział, nigdy, ani razu. Wierzył święcie, że są one zwiastunem katastrofy, straty. Nie był przesądny, ale nie mógł zwalczyć w sobie tego przekonania.

- Halo? - powiedział do słuchawki ostrożnym tonem.

Nie jest mężczyzną, którego Beth potrzebuje. Jest uszkodzony, nie lubi zobowiązań.

- Dziś w szkole znów mieliśmy pewien problem - usłyszał.

Dzwoni, żeby mu opowiedzieć o swoich problemach! Świetnie. Na pewno odczuwa napięcie pomiędzy łopatkami, które on mógłby...

- W czasie przerwy Kyle posmarował klejem krzesło Caspera. To nie był zwykły klej, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

Klej budowlany, pomyślał Ben ponuro. Dzwoni, bo to on ma problem.

- Casper przykleił się do krzesła. Spanikował i zerwał się z niego, zostawiając na siedzeniu większą część spodni. - Ze słuchawki dobiegł zduszony dźwięk.

- Czy ty się śmiejesz?

- Nie - pisnęła.

- Chyba jednak tak.

Cisza i prychnięcie. A potem jeszcze jedno.

- Aha. - Wyobraził ją sobie, jak próbuje powstrzymać chichot, żeby nie wypaść z roli surowej nauczycielki.

Żałował, że nie może zobaczyć jej lśniących oczu. Na pewno marszczy nos, gdy się śmieje.

- Kyle musi ponieść konsekwencje - wykrztusiła w końcu. - I nigdy, przenigdy nie może się dowiedzieć, że się śmiałam.

- Mamy więc wspólny sekret. Nawet w najśmielszych marzeniach się tego nie spodziewałem.

- Gdybyś tylko zdobył się na odrobinę dojrzałości, moglibyśmy wspólnie wymyślić jakąś karę - powiedziała, wracając do swego belferskiego tonu.

- Zawsze byłem zdania, że dojrzałość odbiera radość życia, ale dla ciebie się postaram.

- Mam nadzieję, że to nie ty podsunąłeś mu ten klej!

Mógłby to zrobić, ale relacje jego i Kyle'a nie były jeszcze na tyle dobre, aby dzielili się pomysłami na to, jak rozprawić się ze szkolnym prześladowcą. Tego jednak nie zamierzał mówić panie Maple.

- Musimy stać po tej samej stronie.

- Dorośli kontra dzieci. Rozumiem.

- Nie myślałam o tym w ten sposób. Jak o wojnie.

- To może jak o meczu?

- Tu nie chodzi o to, kto wygra, a kto przegra. Musimy się dowiedzieć, co Kyle'em kieruje. Wybieramy się całą klasą na pływalnię. Za karę Kyle zostanie z wycieczki wykluczony. Mam nadzieję, że nie jest to zbyt surowe?

- Zasłużył sobie. Przekażę mu.

- Dziękuję. I nie powiesz mu...

- Że się śmiałaś? Nie. Zachowam tę wiedzę dla siebie. Będę pielęgnować to wspomnienie.

- Dziękuję za współpracę - oznajmiła formalnie Beth i się rozłączyła.

Ben wstał i udał się na poszukiwanie Kyle'a. Nie musiał szukać daleko - z pokoju chłopca dobiegała głośna muzyka. Kyle próbował nakłonić swoją żabę do jedzenia martwych much.

- Właśnie dzwoniła panna Maple. Powiedziała mi, co zrobiłeś Casperowi.

- Nie udowodnią, że to ja.

- Jasne. Tak czy inaczej, nie idziesz przez to na basen z klasą.

- Ojej, to straszne - rzucił nieszczersze chłopiec.

On wcale nie uważa tego za karę, chyba się nawet cieszy!

Zupełnie nieskruszony Kyle wrócił do karmienia żaby. Nagle długi język wystrze-
lił w powietrze i chwycił jedną z much.

- Wow! Ale super!

Po raz pierwszy w życiu Ben widział wyraz absolutnego szczęścia na twarzy chłopca. Zaprzagnął zadzwonić do panny Maple i powiedzieć jej o tym. Znowu usłyszeć jej śmiech.

Jeśli chce usłyszeć śmiech, powinien sobie włączyć telewizor. Tyle że przecież już żadnego nie posiadał. Jedyny stał w pokoju Kyle'a.

- Chcesz iść na lody? - zapytał siostrzeńca.

Zbyt późno uświadomił sobie, że stanął po złej stronie. Skoro zakaz wyjścia na basen nie jest dla dzieciaka żadną karą, nie powinien go chyba brać na lody. Równie dobrze mógłby powiedzieć: no dalej, przyklej Caspera do jego siedzenia. To bardzo zabawne.

W zasadzie zresztą było to zabawne.

- Oderwał sobie całe siedzenie? - zapytał Kyle, gdy zmierzali w stronę Friendly's, najlepszej lodziarni w Cranberry Corners.

- Tak, okazało się, że nosi niebieską bieliznę w kowbojów.

- Ale dziecinada.

Roześmiali się razem. Ben stanął po złej stronie, ale dla takiej chwili zrobiłby to jeszcze raz.

Zadzwoiła do niego kolejnego wieczoru.

- Myślę, że kara wywarła na Kyle'u odpowiednie wrażenie - zwierzyła mu się. - Cała klasa rozmawia tylko o wyjściu na pływalnię. Kyle musi czuć się wykluczony.

Ben przypomniał sobie reakcję Kyle'a na wieść o karze.

- Nie zrobił z tego wszystkiego zadania, ale nie mogę go znów ukarać. Jeśli będę to robić bez przerwy, poczuje się pokonany. Musisz go nagradzać, gdy zrobi coś dobrego.

- Posłuchaj, jedynym obowiązkiem Kyle'a jest karmienie tej żaby. Nie mogę go za to nagradzać.

- A dlaczego miałbyś go nie nagrodzić za to, że wziął na siebie odpowiedzialność za zwierzę?

Ben rozważał to przez chwilę.

- Dobrze. Zabiorę go na lody. - Zawahał się. - Idziesz z nami?

Ona także się zawahała.

- Chyba nie powinnam.

- A czemu nie? Jesteśmy przecież po tej samej stronie, nie? Założę się, że najbardziej lubisz waniliowe.

- Jestem taka przewidywalna.

- Zaskocz mnie więc.

I faktycznie go zaskoczyła. Po pierwsze, pojawiła się, a po drugie, przyjechała na rowerze z rozpuszczonymi włosami, demonstrując policzki uroczo zaróżowione od wysiłku.

- Nie wiedziałem, że nauczycielki noszą szorty - oznajmił Kyle, który pierwszy ją zauważył. Zmarszczył brwi. - To powinno być niezgodne z prawem.

Ben w pełni się z nim zgadzał. Szorty Beth miały bardzo konserwatywną długość tuż przed kolano, ale i tak mogły powodować kolizje drogowe! Jej łydki były absolutnie fantastyczne.

- Co ona tu robi?

- Zje z nami lody.

- Zaprosiłeś ją. - Kyle nie był chyba zadowolony.

Co w tym dziwnego? Który jedenastolatek chciałby jeść lody ze swoją nauczycielką?

Nie pozwoliła Benowi ani zamówić, ani za siebie zapłacić. Gdy w końcu podeszła do ich stolika, zobaczył w jej rożku diabelską mieszankę pomarańczy i czerni.

- Tygrysie - poinformowała go.

A potem zaskoczyła go jeszcze bardziej. Kto by przypuszczał, że smakująca lody pruderyjna nauczycielka okaże się tak nieznośnie zmysłowym obrazkiem? Gdy kropelka szybko topiącej się słodyczy upadła na jej udo, poczuł, że nie ma na świecie wystarczającej ilości lodów, aby ugasić pożar szalejący w jego wnętrzu.

Zerwał się nagle i spojrzał na zegarek.

- Kyle i ja musimy iść - oznajmił. - Mamy zadanie domowe.

Powinna być zadowolona, że jest takim odpowiedzialnym opiekunem. Na pewno byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, na ile różnych sposobów łączył w głowie jej nagie uda i lody.

Wyglądała jednak na zirytowaną. Właściwie wściekłą. Nie winił jej za to. Zaprosił ją przecież na lody, a teraz ją obraża. Na pewno nigdy się nie dowie, że kierowała nim szlachetność. Po prostu musiał chronić ich oboje.

Kyle także był na niego zły. Gdy wrócili do domu, oznajmił mu tonem znudzonego księcia:

- Ja nie odrabiam zadań domowych.

- To nie odrabiaj. Oblej piątą klasę. A co mi do tego.

Ben zapragnął nagle, aby jego życie wróciło do normy. Mrożonki na kolację. Wieczorne wypady z kumplami. Siłownia w zapasowej sypialni.

Każdego wieczoru jednak żałował, że Beth do niego nie zadzwoniła. Plan działa albo ona się poddała.

Chyba że nie wybaczyła mu, że porzucił ją w lodziarni i przysięgła sobie już nigdy więcej nie odezwać się do Bena Andersona, o ile Kyle nie zamieni jej życia w piekło.

Może to on powinien zadzwonić do niej? Mógłby jej powiedzieć, że codziennie nagradzał Kyle'a za opiekę nad żabą, aby mu wynagrodzić porażki w piątej klasie. Tyle że nagrodą były lody, a Ben nie sądził, aby należało jej o nich przypominać.

Przez cały tydzień wymyślał odpowiednie preteksty do rozmów, aż w końcu los go wyręczył.

Na ekranie jego komórki wyświetlił się numer szkoły. Wiedział, że to może być każdy - dyrektor, pielęgniarka, nawet Kyle. Czuł jednak, że to Beth.

Musiał trzymać słuchawkę naprawdę daleko od ucha. W jednej sprawie Kyle nie skłamał - gdy się denerwowała, miała bardzo piskliwy głos.

W końcu urwała, aby zaczerpnąć tchu. Jej oddech był urywany, co kazało mu się zastanowić, czy przypadkiem nie płacze. Nie chciał nawet myśleć o płaczącej Beth.

- Dobrze cię rozumiem? Kiedy byłaś z klasą na basenie, ktoś gwoździem wydrapał na twoim samochodzie nazwę mojej firmy? Chyba żartujesz?

Jęknął, gdy powiedziała mu o napisie z drugiej strony. „Twoje życie jest do bani”. A Kyle oczywiście nie poszedł na pływalnię.

- Zaraz tam będę - oznajmił i rozłączył się. Wiedział, że nie powinien pogwizdywać. Nie powinien się cieszyć z tego, że znów ją zobaczy.

Może i ona potrafi jeść lody jak adeptka Kamasutry, ale na pewno go już skreśliła. Nie takiego mężczyzny Beth potrzebuje.

Jednak przydałoby się, aby ktoś ją porządnie pocałował. Widział to po sposobie, w jaki jadła te lody. A na tym akurat się znał.

Jakby jedenastoletek z gwoździem niedostatecznie komplikował mu życie!

Przypomniawszy sobie wyraz jej twarzy, gdy opowiadał jej o pływaniu nocą - malującą się na niej tęsknotę i zdumienie.

Chciał sprawić, by znów tak wyglądała.

Pewnie dlatego, że jest facetem. Traktuje to w kategoriach wyzwania. Przypomniawszy sobie, że teraz największym wyzwaniem jest dla niego mały wandal.

Sprawa była poważna. Kyle zrobił coś strasznego. Umyślnie skrzywdził nauczycielkę, która od początku była dla niego miła.

Przez całą drogę do szkoły Ben gwizdał.

Samochód Beth Maple był najbardziej uroczym zjawiskiem, jakie widział. Doskonale utrzymany garbus kabriolet z 1964 roku w odcieniu cukierkowej czerwieni. Był dokładnie taki, jak jego właścicielka - słodki i subtelny, a zarazem zaskakująco seksowny.

Niestety teraz był oszpecony. Na drzwiach kierowcy ktoś wydrapał gwoździem nazwę firmy Bena.

- Jest tego więcej - szepnęła Beth, stając przy nim.

Spojrzał kątem oka na jej twarz, na zmarszczone czoło, smutek w oczach. Wyglądała tak, jakby naprawdę przytrafiło się jej coś strasznego.

Musiała wieść życie pod kloszem.

Przeszedł z nią na stronę pasażera i podążył wzrokiem za jej palcem. Mniejsza czcionka głosiła: „Twoje życie jest do bani”. Kyle równie dobrze mógł się podpisać pod swoim dziełem imieniem i nazwiskiem.

Ben znów spojrzał na Beth Maple. Była smutna i blada. Chyba z trudem powstrzymywała się od łez.

Ich Ben na pewno nie chciał oglądać. To byłby jego koniec. Poczuli się wtedy wielki, silny i opiekuńczy. Nie chciał tego. Nie zamierzał odgrywać dla niej rycerza w lśniącej zbroi...

Nie chciał się angażować, chciał tylko pobawić się z nią w tę fascynującą grę pomiędzy kobietą a mężczyzną, która kończy się szybkim rozstaniem bez żalu, gdzie nie ma miejsca na białe suknie, choć na pewno prześlicznie by w takiej wyglądała.

A skąd u niego nagle taka bujna wyobraźnia? Tego dnia Beth miała na sobie biały sweter, lawendową bluzkę z koronką i czarną spódnicę. To nie powinno go skłaniać do myśli o ślubach, dziewictwie, kąpielach w pianie czy pływaniu nocą w ciemnych wodach oceanu.

Włosy wciąż miała mokre po basenie, zaczął się więc zastanawiać, co miała wtedy na sobie. Strój jednoczęściowy, stwierdził w końcu. I pasujące do niego szorty, których nie zdjęła. Nie tak byłaby ubrana, gdy poszła z nim pływać w Pacyfiku.

Nagle ogarnęła go niepokojąca myśl, że to nieetyczne - myśleć w taki sposób o Beth Maple. Ona nie jest kobietą, która rozumie reguły takich gier. Ta myśl go zaniepo-

koła, bo nigdy wcześniej takich nie miewał. Ona jest dorosła, tak jak on. Dlaczego nie mogliby pokrażyć wokół siebie i zobaczyć, co z tego wyniknie?

Bo nie, usłyszał szept.

Co to było? Jego sumienie? A może instynkt samozachowawczy kawalera? Wystrzegaj się kobiet, które sprawiają, że zaczynasz myśleć o białych sukniach.

Zabawne, że ze wszystkich kobiet, jakie znał, to właśnie ona, najmniej groźna i najmniej seksowna, sprawiła, że zaczął się bać. Miała w sobie ten podstępny rodzaj seksowności, który cię omamiał, nie ten, który obuchem uderza w głowę.

Spojrzał na nią raz jeszcze. Nie. Ona wcale nie jest seksowna. W ogóle. Może nie do końca. Nie jest seksowna krzykliwie, lecz właśnie podstępnie, w subtelny sposób, który rozpala krew. Jeśli mężczyzna na to pozwoli. A on nie zamierza przecież tego robić.

Skoncentrował się na siostrzeńcu. Miła odmiana, nawet w tych niesprzyjających okolicznościach.

Kyle także stał przy samochodzie, z boku, jakby cała ta afera w ogóle go nie dotyczyła. Był przeraźliwie blady, ale spojrzał na wuja bez cienia skruchy.

Ben nie dostrzegł w jego oczach zwyczajnej wojowniczości. Przypomniawszy sobie twarze młodziutkich żołnierzy, którzy ogromnie bali się tego, co musieli zrobić, ale i tak to robili.

W uczynku Kyle'a także była ta brawura.

Pod wpływem łez Beth i nastawienia Kyle'a dobry humor Bena zaczął nagle topnieć jak śnieżna kula w środku lata.

- Ja kocham ten samochód - oznajmiła smutno Beth.

Wiedział, że to prawda. Rozpoznał to po błyszczącej warstwie wosku i wypolerowanej bieli rozkładanego dachu. Jej palce drżały, gdy przesuwała nimi po zadrapaniach.

Mężczyzna tak uczulony na miłość jak on powinien zaaprobować uczucie żywione do samochodu. Dlaczego więc wydawało się mu ono straszną stratą? Dlaczego taka kobieta przelewała miłość na jakąś kupę blachy i części?

Bo to bezpieczne, zrozumiał nagle. Spojrzał na nią. Jak mógł wcześniej tego nie zauważyć? Ona została już przez kogoś okaleczona. Cierpiała z powodu złamanego serca.

Nagle poczuł dziwne pragnienie, aby je naprawić. Chciał znów zobaczyć na jej twarzy ten wyraz tęsknoty, z którym na niego patrzyła, gdy opowiadał o Hawajach.

- Nie rozumiem - powiedziała Beth do Kyle'a, siląc się na opanowanie. - Dlaczego mi to zrobiłeś? Przecież byłam dla ciebie dobra.

Kyle nie podniósł oczu.

- A skąd pani wie, że to ja? - zapytał drżącym głosem. - Pobrała pani próbki DNA? Może to Casper Hearn? On mnie nie cierpi. Zrobił to tak, żeby wyglądało na mnie.

Na twarzy Beth odmalowało się z wątpienie.

Ben uświadomił sobie, że nie może pozwolić, aby podziw dla odwagi Kyle'a czy współczucie dla jego burzliwej przeszłości przesłoniło mu trzeźwy osąd.

To był akt wandalizmu i niezależnie od przyczyn, nie można go tolerować. Byłoby łatwiej puścić to w niepamięć, aby nie musiał już spotykać się z kobietą, która prowokowała go do myślenia o białych sukniach, nie mógł jednak tego zrobić. Powierzono mu tego dzieciaka.

Próbowali planu Beth, ale nie mieli już czasu na eksperymenty. Zniszczenie jej samochodu było dla Kyle'a krokiem w bardzo złym kierunku. A jeśli ta spirala gniewu i zgorzknienia się nie zatrzyma? Raz już Ben musiał przyglądać się z oddali, jak młoda osoba, Carly, pograża się w wirze własnych negatywnych emocji.

- Kyle - rzekł surowo. - Przestań. Wiem, że to ty. Beth spojrzała na niego, chcąc zaprotestować, uświadomić mu, że nie mają dowodu. Uciszył ją, lekko unosząc palec.

- Nie wiem, czemu to zrobiłeś - kontynuował - i nie chcę słuchać usprawiedliwień, bo ten czyn jest niewybaczalny. Panna Maple na pewno na to nie zasłużyła. Ani ja. Bądź mężczyzną.

Coś w tych słowach uderzyło Kyle'a. Ben dostrzegł to w jego oczach.

Po krótkich zmaganiach chłopiec odwrócił się do nauczycielki.

- Przepraszam - powiedział cicho.

- Ale dlaczego?

Kyle wzruszył ramionami i spojrział na Bena tak błagalnie, że mężczyźnie prawie pękło serce.

Kochaj mnie mimo to. Proszę.

Ben zamierzał to robić, był jednak w pełni świadom, że porusza się teraz po polu minowym. Zły rodzaj troski mógłby zniszczyć życie Kyle'a na zawsze.

Zabawne. Ben był uczulony na słowo miłość. Nigdy go nie używał, jednak gdy patrzył na swojego siostrzeńca, błędzącego, tak młodego i łaknącego uwagi, wiedział, że właśnie to do niego czuje.

Zrozumiał, że nie powinien okazywać słabości. Kyle potrzebuje w tym momencie twardej ręki. Ben skrzyżował ramiona na piersi i spojrział na niego stalowym wzrokiem.

- Nabałaganieś - oznajmił cicho - więc będziesz musiał teraz posprzątać.

- Nie wiem jak.

- Za to ja wiem. Ta szkoda jest warta mniej więcej tysiąc dolarów. Masz tyle?

- Nie mam pieniędzy. W zeszłym tygodniu nie dostałem nawet kieszonkowego, bo nie wyniosłem śmieci.

- A masz coś, co jest warte tysiąc dolarów?

- Nie - szepnął Kyle.

Na tym polega problem. Jego siostrzeniec postrzega siebie jako osobę bez wartości. Nigdy nie posiadał nic, co w jego klasie uchodziło za pewnik. Żadnego telewizora, markowych ubrań. Ben kupił mu kiedyś ładny rower, ale z tego, co wiedział, sprzęt przepadł w mrocznych zakamarkach życia Carly, zanim Kyle nauczył się na nim jeździć.

- Panna Maple będzie więc musiała zadzwonić do swojego towarzystwa ubezpieczeniowego. A oni zażądadają raportu policji.

Beth i Kyle aż się zachłysnęli.

- Chyba że coś wymyślisz.

Kyle jeszcze niżej zwiesił ramiona. Beth dosłownie sztyletowała Bena wzrokiem.

Ona naprawdę tego nie rozumie? Kyle zasłużył na to, by się bać. Musiał się bać. Ben spokojnie obserwował, jak chłopiec pogrąża się w desperacji. Pozwolił mu prawie się w niej utopić, zanim rzucił linę.

- Może jednak masz coś wartościowego.

- Naprawdę?

- Umiesz się porządnie spocić. Może zdołamy przekonać pannę Maple, aby zgodziła się zamienić ten dług na prace ogrodowe. Ona musi się zgodzić, a ty wszystko to odpracujesz. Co pani na to, panno Maple?

- Och - wydusiła zdumiona. - Ależ bardzo chętnie. Moje podwórko to dżungla. Kupiłam dom w. zeszłym roku po tym, jak... - Urwała, ale Ben wiedział.

Dom był taki sam jak samochód. Bezpieczny. Kupiony, aby wypełnić pustkę i wyleczyć złamane serce.

- Podejmiesz się tego zadania, Kyle?

Kyle nadal nie otrząsnął się z szoku wywołanego informacją, że ma coś wartościowego.

- No chyba.

- Żadnego chyba. Tak czy nie?

- Tak.

- Porządny z ciebie facet.

Kyle mimo wysiłków nie zdołał ukryć, jak wielką przyjemność sprawiła mu ta pochwała.

Godzinę później zajechali przed dom panny Maple. Nawet gdyby na podjeździe nie stał maleńki czerwony samochód, Ben i tak by rozpoznał, że to ten. Był jak domek z „Królowy Śnieżki”, prawdziwe antidotum na bolesne rozstanie.

Takie miejsce kupuje kobieta zdecydowana na życie w pojedynkę. Tworzy swoją własną przestrzeń, przytulną i bezpieczną, niezdojany bastion kobiecych białych mebli, dobrego smaku i kruchych bibelotów.

- Wygląda jak domek dla lalek - oznajmił Kyle.

Budynek był odnowiony i pomalowany jasnożółtą farbą z niebieskimi ornamentami wokół okien. W oknie sypialni powiewały koronkowe firanki, białe i dziewicze jak jakaś cholerna suknia ślubna, które przypomniały Benowi, że Beth nie jest kobietą, z którą można się zabawić, a potem odejść.

Nie, ten dom głośno komunikował potrzeby swojej właścicielki, która pragnęła stabilności, bezpiecznego schronienia, świata pełnego zaufania.

Podwórko było tak zaniedbane, jak dom dopieszczony. Żółte pnące róże dziczały przy furtce, uginając się pod ciężarem kwiatów. Trawa była skoszona, ale miejscami wyschnięta, krzew rosnący pod oknem wybujał tak bardzo, że prawdopodobnie blokował dostęp światła do salonu.

W drzwiach pojawiła się Beth Maple. Ben z całych sił starał się na nią nie gapić.

Dotarła do domu na długo przed nimi i zdążyła się przebrać. Była boso, miała na sobie podwinięte do kolan płócienne spodnie, przewiązane sznurkiem w talii. W jakiś sposób ten domowy strój był równie seksowny jak szorty, które miała na sobie tego wieczoru, gdy umówili się na lody.

Wyobrażnia to potężna siła. Koszulka ledwo zakrywała jej brzuch. Gdyby nakłonił ją do tego, aby się przeciągnęła, na przykład pokazała mu róże, mógłby dostrzec pepek.

Jaki w tym sens, skoro przecież nie zamierza jej podrywać? Ma spróbować coś naprawić, a nie pogarszać sprawę! Na widok jej domu utwierdził się w tej decyzji.

- Jest w okropnym stanie, wiem - oznajmiła z żalem, spoglądając na ogród. - Kupiłam dom rok temu. W środku było mnóstwo pracy. Wymieniałam podłogi, okna, pojawiły się problemy z kanalizacją. - Jej głos był pełen poczucia winy.

Ben zrozumiał nagle, że ona oczekuje po sobie doskonałości. Nie chciała, aby widział część jej świata, którego nie zdołała sobie w pełni podporządkować.

- Nie sądzę, abyśmy mogli wiele tutaj zdziałać za pomocą tysiąca dolarów.

Ben był odmiennego zdania - zamierzał porządnie wymęczyć Kyle'a, aby chłopak zrozumiał, jaką wartość ma tysiąc dolarów i jaką cenę trzeba zapłacić, gdy niszczy się coś, co należy do kogoś innego.

A praca dla panny Maple była niewielką karą w porównaniu z tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby wezwali gliny.

- Nawet nie przypuszczasz, co można zrobić z tysiącem dolarów - zauważył Ben, obserwując Kyle'a, który utkwiał wzrok w najładniejszym punkcie ogrodu, czyli okazałym klonie, który właśnie zaczynał zmieniać barwy.

Chłopak wspiął się na pień, a potem usiadł na gałęzi. Ben odczuł ulgę na widok tej zwyczajnej, prostej rozrywki dziecka.

Beth także przez moment obserwowała chłopca.

- To co robimy? - zapytała radośnie. - Naprawiamy altankę, poręcz schodów? Siejemy trawę?

Nagle Ben pojął, co kryje się w jej wzroku. Ona chciałaby się wspiąć na to drzewo! Chce być impulsywna i wolna, chce ukryć się w liściach, wspiąć jeszcze wyżej i spoglądać na świat ze swojej kryjówki. Czy to dlatego odtworzyła to drzewo w swojej klasie? Czy jest w ogóle świadoma własnych potrzeb?

- Jak chciałabyś się tutaj czuć?

- Możesz sprawić, że coś pocuję za tysiąc dolarów?

Jego oczy powędrowały do jej ust. Mógłby za darmo sprawić, aby coś poczuła, ale nie zamierzał tego robić.

- Mogę spróbować - odparł szorstko.

- Dobrze więc. Marzy mi się atmosfera letniego dnia. Dobra książka. Hamak w cieniu. Szklanka zimnej lemoniady. Chciałabym czuć się leniwa, odprężona, jakbym nie musiała nawet ruszać palcem.

Niewielkie wymagania. Zaczął układać w głowie listę. Gdy jednak pomyślał o niewielkich wymaganiach, nie widział oczami wyobraźni podwórka, lecz ją samą. Był gotów się założyć, że ona nie oczekiwałaby kosztownych podarunków, biżuterii czy biletów na najlepsze przedstawienia w mieście.

Koc piknikowy. Kosz z pieczonym kurczakiem. Butelka bąbelków, niekoniecznie alkoholowych.

Dlaczego Beth Maple mu to robi? Prowokuje go do myślenia o rzeczach, bez których mógłby się doskonale obejść. Może po prostu nie wie, co jest obecnie w modzie?

- Wiesz, wiele osób zamienia teraz swoje podwórka w prawdziwe miejsce rozrywki, dobudowując dodatkowe pomieszczenia. Kuchnie ze zlewami i lodówkami, grille, bary. W zeszłym tygodniu budowałem patio z kominkiem, które z łatwością pomieści do pięćdziesięciu osób.

- Nigdy o tym nie słyszałam.

- Mogę zbudować wszystko: pomosty, patia, markizy, ogrodzenia, sadzawki. Mam ludzi od zieleni i stylizacji.

- Stylizacji?

- No wiesz, wodoodporne meble, zewnętrzne wykładziny.

- To chyba trochę przekracza nasz budżet.

- A gdyby nie było budżetu, czego, byś pragnęła? - zapytał, nie uzyskując w końcu odpowiedzi na pytanie, co Beth sądzi o modzie na zabudowywanie podwórek.

Prychnęła.

- Po co w ogóle o tym myśleć?

- Nie musimy robić wszystkiego od razu. Lubię tworzyć dla ludzi szeroki plan, który oni potem partiami realizują. Czasami trwa to pięć lat, a czasami całe życie.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Taki plan jest pewnie wart znacznie więcej, niż jest mi winien Kyle.

- Jeśli mu nie powiesz, ja też tego nie zrobię. On nie ma teraz nic do zaoferowania, poza siłą swoich mięśni. Jeśli mu to odbiorę, naprawdę nic mu nie zostanie.

Kiwnęła głową, jakby się poddawała.

- Chcę, żeby od pracy w twoim ogródku porobiły mu się odciski na dłoniach i żeby bolały go plecy.

- Nie przyjmę od ciebie jałmużny - powtórzyła.

- A ja ci jej nie proponuję. Chciałaś planu dla mojego siostrzeńca, a twój dotąd nie zadziałał. Teraz moja kolej. Musi zapłacić za to, co zrobił z twoim samochodem. Nie będzie więcej nagród za karmienie żaby.

- Jak długo będziesz go zmuszał do pracy tutaj?

- Mam nadzieję, że uda mi się to przeciągnąć do jego osiemnastych urodzin - stwierdził sucho Ben. - Powiedz mi więc, jak zamierzasz spędzać czas w tym ogródku.

- Prawdę mówiąc, cała ta stała zabudowa, zewnętrzne kuchnie i kominki, nie są dla mnie. Brzmi to uroczo i na pewno tworzysz dla ludzi piękne rzeczy, ale mnie podoba się prostota. Hamak. Lemoniada. Książka. Chciałabym czuć tutaj spokój. Zwinąć się gdzieś w cieniu w upalne popołudnie, słuchać śpiewu ptaków i szumu wody, i czasami spoglądać na przelatujące motyle.

To nie fair, naprawdę. Ludzie nie mają pojęcia, jak łatwo przychodzi im obnażyć dusze. Czy on naprawdę musiał się tego o niej dowiedzieć?

W świecie, w którym rządził materializm, ona pragnie czegoś, czego nie można kupić.

Wyobraził sobie jej nagie stopy w bujnej trawie i prawie oślepiło go pożądanie. Z każdą minutą czuł się coraz gorzej. Ona nawet nie musi jeść lodów, żeby wywoływać w nim grzeszne myśli.

Zobaczył, jak jej wzrok wędruje do Kyle'a i nagle zrozumiał, co pragnie dla niej zrobić.

- A co sądzisz o domku na drzewie? - zapytał miękko.

I zobaczył ten wyraz jej twarzy. Zdumienie. Nadzieję. Ciekawość.

- Domek na drzewie? Serio?

- Nie jakiś tam domek na drzewie dla dzieciaków, ale samotnię dla dorosłych. Mógłbym zbudować schody, które wyląby się wokół pnia, i platformę między gałęziami. Powiesilibyśmy tam hamak i postawili stolik na lemoniadę.

Zbuduje dla niej miejsce, w którym ptaki będą śpiewać tak blisko niej, że będzie mogła ich dotknąć. Wstawi donice z kwiatami, które będą wabić motyle. Pod drzewem jakaś prosta aranżacja wodna. Będzie mogła słyszeć jej szum, leżąc sobie w hamaku.

- To chyba za dużo - powiedziała, ale jej protest wypadł wyjątkowo słabo.

Ktoś, kto znał ją tylko ze szkoły, taką sztywną i schludną, nigdy nie odgadłby, że w jej oczach zapala się światło na myśl o domku na drzewie. Ben od początku jednak domyślał się istnienia w niej tej drugiej strony.

Nie był pewien, czy powinien ją obnażać, ale nie potrafiłby się chyba już przed tym powstrzymać. A dotychczas tak chlubił się swoją samodyscypliną...

- Nie będziemy się spieszyć. - Dzięki temu będzie mógł się w każdej chwili wycofać. Wiedział jednak, że nie porzuci rozpoczętego projektu. Dokonał w głowie wstępnych obliczeń. - Będziemy przychodzić tu codziennie po szkole przez następne dwa tygodnie. Zobaczymy, czy przez ten czas Kyle nauczy się tego, czego powinien.

Beth oderwała wzrok od drzewa i skierowała go na niego. Nagle zrozumiał, że nie tylko on dostrzega rzeczy, których nie widzą inni.

- Są różne sposoby na to, aby zostać nauczycielem, prawda, Ben?

Powiedziała to tak miękko, jakby wzbudzał w niej podziw. W przypadku każdej innej kobiety odczytałby to jako zaproszenie do flirtu, próbę podkręcenia tempa. W przypadku Beth był to płynący z głębi serca komplement.

- Będziemy tu jutro po szkole - powtórzył miękko, po czym odwrócił się i zawołał siostrzeńca.

Oboje obserwowali, jak chłopiec schodzi z klonu.

- Od jutra będziemy tu przychodzić codziennie po szkole - oznajmił Ben. - Zbudujemy pannie Maple domek na drzewie.

Oczy Kyle'a zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Domek na drzewie? Super.

- Super - zgodziła się Beth.

I nagle Kyle się uśmiechnął. Tak szczerze, tak otwarcie, że Ben poczuł szczypanie pod powiekami. Zaraz jednak Kyle się opamiętał i zmarszczył brwi, jakby zrozumiał, że za bardzo się odsłonił.

Ben odwrócił się ze świadomością, że tego dnia chyba wszyscy popełnili błąd.

Są różne sposoby na to, aby zostać nauczycielem. Jakby Beth dostrzegła w nim mężczyznę, którym mógłby się stać, jakby zauważyła jego serce, które ukrył przed światem dawno temu. Ją także mógłby nauczyć kilku rzeczy.

Nie zamierzał jednak tego robić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Beth stała przy kuchennym blacie i przysłuchiwała się dobiegającym z ogródka miarowym uderzeniom młotka. Kiedy jej uporządkowane życie tak kompletnie wymknęło się spod kontroli?

- Kurczę, wujku, nie słyszałeś nigdy o raku skóry? Włóż z powrotem tę koszulę!

Przez chwilę rozmyślała nad tym, jak miło słyszeć, że Kyle troszczy się o swego opiekuna. Nagle zamarła. Ben Anderson zdjął koszulę? W jej ogrodku?

- Lubię żyć niebezpiecznie - zawołał Ben do siostrzeńca.

A to ci dopiero niespodzianka, pomyślała z przekąsem Beth. Nie podglądaj, nakażała sobie, ale tę część swojej natury dawno już przestała kontrolować. Zabroniła sobie tego surowo, a jednak wyjrzała przez okno.

Dzień był naprawdę piękny. Wrześniowe słońce przenikało żółknące liście i oblewało podwórko ciepłym płynnym złotem. Sam skwer wyglądał znacznie gorzej niż kilka dni wcześniej - trawa była przybrudzona farbą, a wokół leżały stosy śmieci, odpilowanych gałęzi i materiałów budowlanych.

Ale wśród tego bałaganu widać już było pierwsze efekty, które wprawiały ją w autentyczną euforię. Być może w zamian za utratę części kontroli nad swoim życiem będzie teraz otrzymywać takie wspaniałe niespodzianki?

A może uczucie euforii, które ją ogarniało, było ściśle związane nie z samym ogrodem, a z tym, kto w nim pracował?

Rozkosznie się czuła, podglądając Bena ze swej bezpiecznej kuchni. Czy jakakolwiek kobieta mogłaby mieć dość takiego widoku?

Wyglądał jak uosobienie seksu - był szczupły, umięśniony, miał gładką i napiętą skórę. Smuga ziemi na brzuchu podkreślała jego wyrzeźbione mięśnie, a w zagłębieniu jego szyi, tuż nad klatką piersiową, błyszczał pot. Sprane prawie do białości dzinsy zwiślały mu luźno na biodrach. Ben miał tak płaski brzuch, że naprężony na biodrach pasek nie dotykał skóry, tworząc smakowity prześwit.

Czuła wstyd na myśl o tym, jak bardzo jest zafascynowana jego fizycznością, ale on był taki prawdziwy! I niepokojący. Nigdy wcześniej nie była tak świadoma fizycznie

niczyjej obecności, nigdy wcześniej nie odczuwała tak intensywnie, że i w niej kryją się nieświadomione dotychczas pragnienia.

Byłaby zupełnie zadowolona ze swojego życia, gdyby nie poznała znaczenia słowa głód.

Jak ma teraz wrócić do codzienności? Co powinna z tym zrobić? Poddać się? Walczyć?

Pieczenie ciastek zdecydowanie nie jest odpowiedzią! Marnotrawi czas, który mogłaby wykorzystać bardziej efektywnie. Powinna poszukać w internecie, jak opierać się atrakcyjnym facetom, a nie szpiegować ich z kuchennego okna!

Ben i Kyle zjawili się u niej już po raz trzeci. Dotąd Ben ani razu nie zdjął koszuli, podbijając jej serce tym, jak radzi sobie z Kyle'em: mieszaniną surowości i uczucia. Beth pojęła, że jej pierwsze wrażenie było słuszne - Bena z łatwością dałoby się ugłaskać. Obserwując, jaki jest dla siostrzeńca cierpliwy, jak pomaga mu podejmować własne decyzje, wiedziała, że patrzy na człowieka, który kiedyś będzie wspaniałym tatą. Na jej oczach dojrzywał do roli mentora i opiekuna.

Zazwyczaj przyjeżdżali do niej dopiero po szkole, ale tego dnia była sobota, zjawili się więc na jej progu z samego ranka, a Ben oznajmił radośnie, że spędzą u niej cały dzień.

Dla Beth sobota była dniem wysypiania się, zakupów, prania i załatwiania różnych spraw, odwołała jednak wszystkie swoje plany bez wahania. Zakupy czy dzień z Benem Andersonem? Ba!

Rozległ się sygnał piekarnika, toteż Beth z niechęcią odsunęła się od okna, aby wyjąć gorące ciasteczka z kawałkami czekolady. Czekąca, aż ostygną, zastanawiając się, czy lepiej będzie podać do nich mleko czy lemoniadę.

Oto efekty goszczenia na swoim podwórku takiego faceta - każda decyzja urasta do rangi dylematu. Tak jakby każdy jej wybór mógł mu coś o niej powiedzieć.

W końcu postawiła na tacy i mleko, i lemoniadę. Aby go zmylić, tak na wszelki wypadek, gdyby faktycznie zechciał w jakiś sposób interpretować jej wybór.

Kiedy ją zobaczył, odłożył młotek i uśmiechnął się tym swoim leniwym seksownym uśmiechem, od którego wirowało jej w głowie. Kyle, który ciężko pracował, kopiąc coś, odłożył łopatę.

Wiedziała już, że na intuicji Bena można polegać. Ten ich wspólny projekt tylko to potwierdzał. Zmiana, która zaszła w Kyle'u, była spektakularna. Myślał, że jest bezwartościowy i nagle dostrzegł, co można osiągnąć ciężką pracą. Mógł zobaczyć na własne oczy, jak świat zmienia się pod jego wpływem, nawet jeśli ten świat to tylko mały ogród nauczycielki. Ta perspektywa otwierała się przed nim po raz pierwszy w życiu.

Ben konsultował z Kyle'em swoje plany, słuchał go i szanował jego opinie. Tak samo zresztą postępował z Beth.

Budowali coś razem, we troje, a ona czasami myślała, że nie chodzi tylko o domek na drzewie.

Plan budowy domku wypełnił w jej sercu pustkę, którą dotychczas odczuwała. Był zwodniczo prosty. Schodki oplatały pień, choć nie były na nim umocowane, bo Ben nie chciał ranić drzewa, wbijając w nie gwoździe. Schodki wiodły do platformy zawieszanej solidnie pomiędzy gałęziami, znów bez użycia gwoździ.

Troska Bena o drzewo zaskoczyła ją i pokazała jej po raz kolejny, że ten facet to nie tylko pięknie wyrzeźbiona twarz i mięśnie. Ben skrywał w sobie całe pokłady życzliwości, choć gdyby mu o tym napomknęła, na pewno by zaprzeczył.

Szybko zorientowała się, że jego wizja nie jest łatwa w wykonaniu. Wymagała kopania, równania, ubijania. Beth domagała się, aby jej też pozwolono użyć kompaktora, maszyny, która wyglądała jak kosiarka, ale była znacznie cięższa i przez większość czasu robiła, co chciała.

Ben w końcu się zgodził, toteż pod jego czujnym okiem próbowała wyrównać ziemię wokół drzewa, gdzie trzeba było wylać beton. Kompaktor działał podobnie jak wiertarka udarowa i wprawił w drżenie całe jej ciało.

- Hola! - wołała raz po raz, ale maszyna w ogóle jej nie słuchała. Uderzyła w pień co najmniej trzy razy.

Kyle śmiał się głośno, błagając ją, aby przestała. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła, że Ben także się śmieje. Ona również nie zdołała utrzymać powagi, a wtedy nieposkro-

miona maszyna wyrwała się jej z rąk i zaczęła demolować trawnik. W końcu Ben ją złapał, wyłączył i odsunął poza zasięg Beth.

- Panno Maple?

- Tak?

- Jest pani zwolniona.

Kiedy po raz ostatni tak głośno się śmiała? Aż bolały ją mięśnie. Poczwała się jak nowo narodzona, ożywiona, jakby los otwierał przed nią możliwości, o których dotychczas nawet nie marzyła. W jej oczach wszystko lśniło i migotało, ale czy był to tylko miraż, czy też rzeczywistość?

Gdy nadjechała betoniarka, bez wahania polecił wylać plamę gęstego cementu pod drzewem.

To był jego świat. On tu dowodził. Kompetentny, zdecydowany. Tylko konkrety, gdy pokazywał Kyle'owi, co jeszcze trzeba zrobić. Praca z betonem była bardzo ciężka, ale on zdawał się cieszyć swoją siłą, dzięki której tworzył trwałe konstrukcje. Był to dla niej widok niezwykle pociągający, choć w ogóle go nie rozumiała.

W końcu surowy wyraz skrajnej koncentracji ustąpił z jego twarzy. Odłożył kielnię.

- Chodź, Beth. Musimy pokazać przyszłym pokoleniom, kto tego dokonał.

Wolałaby, aby nie używał jej imienia w jednym zdaniu z frazą „przyszłe pokolenia”, nawet jeśli o tym marzyła.

Pochylił się i odcisnął dłonie w tężejącym betonie.

Nalegał, aby ona zrobiła to samo. Kyle z radością zostawił swój odcisk i podpisał go swym imieniem.

- Mogę dopisać: twoje życie jest do bani? - zapytał, patrząc na nich z ukosa.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Znowu. Ten dźwięk miał w sobie siłę naprawiania wszystkiego, co złe w świecie. Jej świecie.

- Nos ci się marszczy, gdy się śmiejesz - stwierdził Ben.

Instynktownie nakryła go dłonią.

- Wybrudzisz sobie twarz - powiedział, odciągając jej dłoń. - Ślicznie wtedy wyglądasz.

Do niedawna żyła w błogiej nieświadomości - nie wiedziała, że w jej świecie źle się dzieje, że trzeba go uleczyć. Była przekonana, że ma za sobą cały ten nonsens związany z Rockiem/Ralphem.

Teraz jednak, gdy jej świat ożył pod wpływem śmiechu i mężczyzny, który dostrzegł, że jej nos się marszczy, gdy się śmieje i uważał, że to śliczne, zrozumiała, że zraniona dała się zamknąć w klatce. Bezpiecznej klatce.

A teraz na jej podwórku rozgrywał się magiczny spektakl; nikt z ich trojga nie potrafił oprzeć się czarom. Przez chwilę nawet rozważała, czy nie zgodzić się, aby Kyle dopisał pod odciskiem swoich dłoni te słowa, bo to one ich do niej przywiodły.

Nie chodziło już nawet o domek na drzewie, lecz o świadomość współpracy, poczucie przynależności. Jej ogród nabierał nowych kształtów, schody pięły się po pniu drzewa w górę, a przed nią otwierały się zupełnie nowe możliwości.

Wyszła z domu z tacą pełną smakołyków i ustawiła ją na zniszczonym stole ogrodowym.

Ben ruszył w jej stronę, ocierając przy tym twarz i tors podkoszulkiem, który zaraz włożył.

- Mleko i lemoniada - stwierdził, uśmiechając się szeroko. - Interesujące.

- Dlaczego? - Od początku wiedziała, że jej wybór coś będzie dla niego znaczył, niezależnie od tego, jakiego by dokonała! Powinna była się domyślić, że niedokonywanie wyboru też będzie symboliczne.

Wybuchnął śmiechem.

- Próbujesz wszystkich uszczęśliwić.

- Nie - odparła, opierając ręce na biodrach i wędrując wzrokiem do pełnej gracji konstrukcji na drzewie - ty próbujesz. I spójrz na moje podwórko.

Spójrz na mnie. Czy nie widzisz, jaka jestem szczęśliwa?

- Spójrz na Kyle'a.

Kyle podszedł do stołu z brudną buzią, promieniejąc szczęściem.

- Zobacz - jęknął z zachwytem i pokazał jej dłoń. Na śródreczu nabrzmiewał mu czerwony pęcherz.

- Oj, to straszne. Przyniosę ci masło.

Ben mrugnął do niej porozumiewawczo i potrząsnął głową.

- Tak bywa, gdy się jest mężczyzną - powiedział na tyle głośno, aby chłopiec go usłyszał.

Kyle uśmiechnął się radośnie i zajął się ciastkami.

Nie podniósł głowy, dopóki nie ogołocił talerza. Wypił dwie szklanki mleka i jedną lemoniady, a potem wrócił do pracy.

- Dobra, przyznaję - powiedziała Beth, gdy Kyle podniósł łopatę - twój plan jest znacznie lepszy niż mój. On uwielbia tu pracować. Jest zupełnie innym dzieckiem niż jeszcze kilka dni temu.

- Cóż, nie wspominaj o tym głośno, bo jeszcze gotów udowodnić ci, że się mylisz, ale masz rację. Dobrze mu to robi.

- To naprawdę miłe z twojej strony, że tyle dla niego poświęcasz. Dziś wypada pewnie twój wolny dzień.

- Niewiele mam wolnego o tej porze roku. Dopiero kiedy pogoda się psuje, biorę urlop.

- I co wtedy robisz?

Czy to pytanie jest zbyt osobiste? Jasne, że tak, ale bardzo chciała wiedzieć, czym on się zajmuje w wolnym czasie!

- Zazwyczaj lecę na dwa tygodnie na Hawaje. - Jego wzrok powędrował w stronę Kyle'a. - Nie wiem, czy w tym roku mi się uda.

- Jak się czuje twoja siostra? - To pytanie na pewno było zbyt osobiste: Ben zeszywniał i zamieszał szklanką lemoniady niczym wróżka, która czyta przyszłość z fusów.

Pewnych uczuć nie lubił ujawniać ludziom. Zazwyczaj sprawiał wrażenie lubiącego rozrywki czarusia, prawie więc wstrzymała oddech, czekając, którą twarz Ben pokaże. A potem odetchnęła z ulgą.

Wzruszył ramionami, oderwał wzrok od szklanki i spojrzał na nią z bólem.

- Ona tego nie przeżyje.

Wiedziała, że matka Kyle'a jest ciężko chora, w przeciwnym razie Ben nie zostałby oficjalnie wyznaczony na prawnego opiekuna chłopca. Jego słowa ją jednak poraziły.

Dotknęła jego ramienia. Nic więcej. Po prostu go dotknęła, a jednak poczuła, że zrobiła najwłaściwszą rzecz na świecie, gdy nakrył jej dłoń. Coś ich połączyło. Nie sympatia, lecz coś głębszego, co zaczęło się, gdy oznajmił, że zbuduje dla niej domek na drzewie.

Mogłaby tak stać do końca życia, Ben jednak nagle zabrał rękę tak gwałtownie, jakby chciał strzepnąć z niej to niezwykle uczucie i uśmiechnął się do niej łobuzersko. Nagle zdała sobie sprawę, że ten seksowny uśmiech bywa maską.

- Kiedyś cię pocałuję - zadeklarował.

Czy to także maska? Sposób na to, aby nic nie czuć? Spojrzała na jego usta.

Prawda była taka, że umierała z niecierpliwości, aby poczuć ich smak. Ale nie w ten sposób.

- Szczerze mówiąc, nie sędzę - odparła, rozkoszując się jego zdumioną miną. Jakby nigdy wcześniej żadna kobieta nie odmówiła mu pocałunku.

Zapewne tak było, a ona niewątpliwie tego pożałuje. Jeszcze dziś. Za kilka sekund.

Zanim jednak straciła nad sobą panowanie, podniosła tacę i ruszyła w stronę domu. Otworzyła drzwi z siatki stopą i obejrzała się przez ramię.

- Wiesz - zawołała do niego - całowanie nie rozwiąże twoich problemów. Gdy oderwiesz usta, one nadal będą.

Wpatrywał się w nią przez chwilę w zdumieniu, a potem zerwał się z miejsca i kilkoma krokami pokonał dzielący ich dystans.

- Skąd wiesz, jakie problemy może rozwiązać całowanie albo jego brak?

- Co ty sugerujesz? Wyglądam, jakby jeszcze nigdy nikt mnie nie pocałował?

- Na pewno nie wyglądasz jak ekspert w tej dziedzinie!

W tym momencie uczucie, że coś ich łączy, wyparowało z Beth. Po prostu zniknęło. To był jednak miraż.

- Ty nadęty, zapatrzony w siebie neandertalczyku!

- Nie wyzywaj mnie słowami, które mają więcej niż pięć sylab!

- Neandertalczyk ma dokładnie pięć!

Spojrzał na nią tak, jakby zamierzał wbiec na ganek, zanurzyć palce w jej włosach i pocałować ją tylko po to, aby udowodnić swoje racje. Albo jej. Nazwała go przecież neandertalczykiem.

Prawdopodobnie całkiem zmiękłyby jej wtedy kolana, tak jak tylu kobietom przed nią, i zupełnie zapomniałyby o manierach. Bez słowa by mu wybaczyła albo nawet doszła do wniosku, że to czarujące.

Wśliznęła się więc do domu, poczekała, aż drzwi się zatrzasną, i zasunęła zasuwkę.

- Czy ty właśnie zamknęłaś drzwi? - spytał ze zdumieniem.

Nie odpowiedziała, przyglądała się mu tylko przez siatkę.

- A co? Myślisz, że je wyłamię, żeby cię pocałować?

- Nie byłby to mój pierwszy raz - oznajmiła w przypiływie złości.

Nie skłamała przecież. Przez większą część liceum uciekała przed amatorami Harleya Houstona, który posunął się nawet do tego, że ukrył się w szafie na ubrania i wyskoczył na nią znienacka, gotów ją całować. Prawie tak, jakby wyłamał drzwi.

- Na pewno byłby - odparł, nie umiejąc ukryć złości.

- Posłuchaj, naprawdę nie rozumiem, czemu jesteś przekonany, że nie wzbudzam w facetach żadnych gorących uczuć, skoro jeszcze przed chwilą, w ogóle przeze mnie nieprovokowany, oznajmiłeś nagle, że kiedyś mnie pocałujesz. Zupełnie tak, jakby nie wymagało to żadnego udziału z mojej strony.

- Wierz mi, gdybym cię kiedyś pocałował, bardzo chętnie wzięłabyś w tym udział.

- Nie sądzę - oświadczyła, nie zamierzając poddawać się żadnym testom w tej dziedzinie.

Przecież nie będzie karmić jego przerośniętego ego. Był po prostu nieznośny. Arogancki. Irytujący.

Przeczuwała to od chwili, w której stanął na progu jej klasy. I co zrobiła, zamiast posłuchać głosu zdrowego rozsądku? Dała się zwieść pozorom - jego olśniewającemu wyglądowi i urokowi. Dźwiękowi jego śmiechu. Domkowi na drzewie, który przybierał coraz bardziej realne kształty.

Ona, Beth Maple, która chlubiła się dotąd rozwagą, pozwoliła, aby ich drogi się zetknęły! Dała mu swój adres, na litość boską! Wpuściła go na swoje podwórko. Piekła mu ciastka. Poila go mlekiem i lemoniadą.

Bezwstydnie obserwowała, jak Ben ściąga podkoszulek i odciska te wielkie łapy w jej betonie! Teraz już zawsze na ten widok będzie sobie przypominać, że w sprzyjających okolicznościach może zrobić z siebie jeszcze większą idiotkę niż w tej sprawie z Ralphem alias Rockiem!

Zamknęła za sobą drzwi tak głośno, jak tylko potrafiła. Dopiero gdy z hukiem załadowała zmywarę, uświadomiła sobie, że Ben osiągnął dokładnie to, co zamierzał, i że wcale nie chodzi mu o pocałunek.

Poczuł coś, gdy powiedział jej o swojej siostrze.

Smutek, bezbronność, może zaufanie.

A za pomocą sprzeczki zdołał znów narzucić dystans, przejść nad tym do porządku.

To było ostrzeżenie. Nie ma sensu planować przyszłości z mężczyzną, który jest tak emocjonalnie zamknięty, tak przerażony.

A kiedy ona w ogóle zaczęła planować z nim przyszłość?

- Nigdy - powiedziała sobie, gdy obserwowała, jak Ben i jego siostrzeniec pakują narzędzia i bez pożegnania odjeżdżają. - Mam nadzieję, że on już nie wróci.

Gdy jednak zajrzała do ogrodu i zobaczyła prawie ukończone schody, od razu zrozumiała, że jej nadzieje są płonne. Gdyby zamierzał zrezygnować, odjechałby od razu po sprzeczce.

Sprzeczka. Po raz pierwszy pokłóciła się z Benem.

Prawdziwi ludzie często się nie zgadzają, wiedziała o tym. Jej związek z Rockiem rozwijał się jak fantazja i tym właśnie był. Wymieniali miłosne liściki i czułe obietnice - nie było pomiędzy nimi ostrych słów i nieporozumień. Czasami tylko pozwalała sobie na żart, gdy po raz kolejny musiał odwołać ich spotkanie, posługując się wymyślnymi wymówkami.

- Pewnie nie jestem jeszcze gotowa na prawdziwy związek - stwierdziła na głos, dostrzegając między gęstymi liśćmi miejsce, gdzie miała powstać platforma.

On jednak nie dbałby o to, czy jest gotowa. Tak jak w przypadku pocałunku. Jeśli nie będzie ostrożna, po prostu zmiecie ją z nóg. Huragan. Ben. A gdy skończy wiać, jej życie legnie w gruzach. Budować schron czy się ewakuować?

- Przesadzasz - zbeształa się. Zapewne wiele osób tak mówi, widząc na horyzoncie burzę.

I zmierza tym samym ku zagładzie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Supertajny dziennik Kyle'a O. Andersona

Panna Maple i wujek Ben chyba się pokłócili. Po tym, jak panna Maple przyniosła nam ciastka, mleko i lemoniadę, weszła do domu i już nie wróciła. Wujek się z nią nie pożegnał, kiedy odjeżdżaliśmy. W drodze do domu był bardzo cichy, a kiedy zapytałem go, czy coś się stało, wydawał się bardzo zdziwiony i zapewnił mnie, że wszystko w porządku i zapytał, jak mi się podobało.

Chcecie znać prawdę? Lubię pracować z wujkiem. Uwielbiam domek na drzewie panny Maple. Nigdy dotąd nie myślałem o przyszłości. Nie jestem jednym z tych dzieciaków, które marzą, że zostaną strażakami, kiedy dorosną. Dla mnie wyzwaniem był każdy dzień.

Praca z wujkiem uświadomiła mi jednak, że lubię budować różne rzeczy. A wujek mówi, że jestem w tym dobry. Kiedy zasugerowałem, jakie poprawki można by wprowadzić, aby stopnie były wygodniejsze, nazwał mnie geniuszem. A kiedy wujek coś mówi, to naprawdę tak myśli.

Jeśli pokłócił się z panną Maple, to cieszę się, że mi o tym nie powiedział. Mama zawsze dzieliła się ze mną wszystkim, co działo się w jej życiu, a jeśli myślicie, że dobrze jest wiedzieć wszystko o problemach dorosłych, to się dobrze zastanówcie. To zresztą dosyć zabawne, bo przecież miałem nadzieję, że wujek i panna Maple się nie dogadają, a teraz, kiedy się kłócą, zaczyna mnie to martwić.

Kiedy w końcu dotarliśmy do domu, rozdzwonił się telefon. Odebrał wujek, ale zaraz podał mi słuchawkę. Wydawało mi się, że tylko mama może do mnie dzwonić, więc prawie upuściłem telefon, kiedy usłyszałem Mary Kay Narsunchuk. Powiedziała, że w planetarium urządzają specjalny pokaz i zapytała, czy chciałbym z nią pójść.

Z początku myślałem, że to żart. Byłem przekonany, że jeśli się wsłucham, usłyszę w tle chichot jej koleżanek, nic takiego się jednak nie wydarzyło.

- Dlaczego mnie o to pytasz? - powiedziałem na luzie.

- Bo jesteś najmądrzejszą osobą, jaką znam - odparła, a mnie sprawiło to wielką przyjemność, choć przecież tak naprawdę w ogóle się nie znamy. Dodała jeszcze, że podobało się jej, jak broniłem żaby przed Casperem, chociaż przyznała, że nie lubi żab.

Powiedziała mi też, że nie cierpi Caspera. To znaczy, że mamy ze sobą coś wspólnego.

Jej mama przyjechała po mnie pod dom wujka Bena i zawiozła nas do planetarium, co było dosyć śmieszne. Korzystam sam z transportu miejskiego, odkąd skończyłem sześć lat i naprawdę nie sędzę, aby planetarium znajdowało się w niebezpiecznej dzielnicy, dlatego kiedy mama Mary Kay oznajmiła, że mamy czekać na nią przy drzwiach, dopóki nie podjedzie, prawie pękłem ze śmiechu, ale powiedziałem tylko: dobrze, proszę pani.

Po drodze zauważyłem, że Mary Kay przewyższa mnie o prawie osiem centymetrów i jest bardzo ładnie ubrana. Znów zaczęło kiełkować we mnie przekonanie, że jestem gorszy, ale powiedziałem sobie, że to nie jest randka ani nic takiego, a kiedy zapytała mnie, co dziś robiłem, opowiedziałem jej o budowaniu domku na drzewie dla panny Maple. Powiedziała, że to najfajniejsza rzecz, o jakiej słyszała.

Kiedy w końcu zajęliśmy miejsca, stało się coś dziwnego. Światła zgasły, a ona wzięła mnie za rękę.

I tyle. Kiedy na tle nieprzeniknionej ciemności pojawiły się światła, jak diamenty przyszyte do czarnego aksamitu, pomyślałem sobie: i to wszystko dzięki Kermitowi. Domek na drzewie, spotkanie z Mary Kay, to, że ona myśli, że jestem mądry i nie zauważa, że jestem od niej znacznie niższy i gorzej ubrany.

Gwiazdy nad nami sprawiały, że wszechświat wydawał się przeogromny. I wtedy coś zrozumiałem: że zła może wynikać dobro. Może dba o mnie ta sama istota, która umieściła gwiazdy na niebie i może wreszcie wszystko się ułoży.

Po raz pierwszy w życiu poczułem coś takiego. Jakbym w końcu nie musiał się o nic martwić.

Ale to nic w porównaniu z tym, co wydarzyło się potem. Wiercie mi, zupełnie przestałem myśleć o wujku i pannie Maple.

Po raz pierwszy, odkąd w jego życiu pojawił się Kyle, Ben miał wolny wieczór.

Gdy obserwował, jak dzieciak zmierza do samochodu pani Narsunchuk, wolność uderzyła mu do głowy.

Wokół panowała błoga cisza - żadnego dudnienia basów w głębi korytarza.

- Mógłbym wypożyczyć film pełen przekleństw i przemocy - powiedział głośno, rozważając swoje opcje. - Jakaś męską rzecz. - Uderzył się w pierś, aby się wprowadzić w odpowiednio męski nastrój. W obecności swego współlokatora powstrzymywał się przed tym, aby nie paść ofiarą kpin.

Nagle jemu samemu ten gest wydał się śmieszny. To zapewne wpływ tej irytującej panny Maple. Wyraźnie widział oczami wyobraźni, jak na jego widok kobieta unosi do góry brwi.

- Już ja jej pokażę - stwierdził. - Zadzwońię do Samantha. - Nie podniósł jednak słuchawki.

Ze śliczną Samantha przestał się umawiać na długo przed tym, zanim poznał pannę Maple, mógł sobie więc wyobrazić, jaka wydałaby mu się głupia teraz, gdy ma ją z kim porównywać. Z kimś, kto od niechcienia cytuje Arystotelesa!

- Dobrze, więc Hillary - zdecydował.

Hillary nie dała się jednak niczym zaskoczyć od dwudziestu pięciu lat, a on nie miał tego wieczoru nastroju, by udawać światowca i cynika.

Pam zawsze była beztroska, ale po dniu spędzonym z Beth Maple, którą porwał kompaktor i która marszczyła nos, gdy się śmiała, przeczuwał, że jej chichot szalenie by go irytował.

- Dobra - oznajmił, zły na siebie. - Zadzwońię do chłopaków.

W ostatnim czasie jednak koledzy uparli się, aby nakłonić go, by wrócił do gry, jak to określali, a na samą myśl o tym czuł się bardziej zmęczony niż po dniu wylewania cementu.

Prawda była taka, że bez Kyle'a dom wydawał się mu dziwnie pusty. Ben zdążył się już przyzwyczaić do dudnienia basów, skrzypienia drzwi od lodówki i odpowiedzialności za chłopaka.

Dla faceta, który jeszcze do niedawna nie potrafił się zająć rośliną doniczkową, fakt przyjęcia na siebie obowiązków prawnego opiekuna dziecka był sporą niespodzianką.

Może dojrzeje? Staje się lepszym człowiekiem?

Przypomniał sobie nagle, jak tego popołudnia potraktował pannę Maple, i wcale nie odczuł dumy.

- Chyba jednak wypożyczę film - powiedział głośno i sięgnął po kurtkę.

W wypożyczalni wybrał „Szakali pustyni”, film wojenny, którego nigdy nie mógłby obejrzeć z Kyle'em.

Zanim jednak dotarł do kasy, zawrócił i odłożył film na półkę. W jasnym świetle jarzeniówek uświadomił sobie pewną rzecz. Próbuje uciec, wypełnić pustkę, aby nie myśleć o tym, czego się dopuścił.

Zranił ją. Naprawdę zranił Beth Maple.

A zrobił to, bo gdy powiedział jej o swojej siostrze i poczuł delikatny dotyk jej dłoni na ramieniu, zrozumiał jedno: czuł obezwładniający smutek na myśl o Carly i był zupełnie bezbronny wobec Beth. A wcale nie chciał tych uczuć.

Nie było to w jego życiu nic nowego. Tyle że chyba po raz pierwszy rozmyślnie kogoś skrzywdził.

I to w dodatku właśnie ją.

Gdy wziął na siebie zobowiązanie budowy domku na drzewie, chciał naprawić krzywdy, które jej wyrządzono. Nie zamierzał dodawać nowych.

A ona tylko go dotknęła, gdy jej powiedział, że Carly nie przeżyje choroby. Coś w tym dotyku go osłabiło, zamiast wzmocnić. Zapragnął nagle ułożyć głowę na jej kolanach, poczuć jej palce we włosach i wypłakać wszystkie łzy.

Nic dziwnego, że na nią napadł. Ben Anderson nie płacze. Wiedział jednak, że postąpił dziecinnie, wyzywając się na niej.

- Bądź mężczyzną - powiedział kiedyś Kyle'owi.

Teraz nadeszła jego kolej.

Gdy wyszedł z wypożyczalni, prawie zbił go z nóg zapach świeżej pizzy. Tego wieczoru nic nie zdążył zjeść.

Pół godziny później stanął na progu domu Beth ze słynną pizzą Mamy Marietty i sześciopakami napojów w dłoniach.

Beth otworzyła drzwi, co napełniło go nadzieją, bo najpierw wyjrzała przez wizjer i musiała widzieć, że to on. Potem jednak skrzyżowała ramiona na piersi niczym surowa nauczycielka, która nie zamierza dać się zawojować dzieciakowi, który poszedł na wargary.

Miała na sobie workowaty biały podkoszulek i spodnie, które zwisały w najbardziej nieodpowiednich miejscach. Pizama? Strój kobiety, która nie bywa zaskakiwana męskim towarzystwem.

To także napełniło go nadzieją, z powodów, nad którymi nie chciał się na razie zastanawiać.

- Przychodzę z propozycją rozejmu - oznajmił, wyciągając przed siebie pudełko z pizzą, tak aby mogła zobaczyć logo. Nikt w Cranberry Corners nie potrafi się oprzeć pizzy Mamy Marietty. - I przeprosinami.

- A gdzie Kyle?

- Tym razem bez Kyle'a. Pojechał do planetarium z Mary Kay jakąś tam.

- O, tego się nie spodziewałam. Tego również.

Beth z nim rozmawia. Zachował się bezmyślnie, okrutnie i zasugerował, że nikt nie wyważyłby drzwi, aby ją pocałować, a ona mimo to z nim rozmawia.

- Wpuścisz mnie do środka?

- Zastanowię się.

- Wie pani co, panno Maple? Za dużo się pani zastanawia.

- Pan pewnie nie miewa takich problemów, panie Anderson.

- Zazwyczaj nie.

Kąciaki jej ust powędrowały w górę, ale nadal nie otworzyła drzwi.

- Dobra - stwierdził w końcu. - Jakoś pogodzę się z tym, że potrafisz mi się oprzeć, ale pizzy Mamy? Daj spokój.

- A z czym wzięłaś?

- Grzyby, pepperoni i te małe pikantne kielbaski.

Wyraźnie się zawahała, gdy usłyszała o kielbaskach. W innych okolicznościach poczułby się urażony. Beth mogła zatrzaskać drzwi przed nosem jemu, ale nie kielbaskom?

- Musimy ustalić pewne zasady - oznajmiła.

- Za bardzo ufasz tym swoim zasadom.

- Nie powinnam umawiać się na randki z członkami rodzin moich uczniów.

- Przecież to nie jest randka! To pizza.

- Poza tym jest jeszcze kwestia całowania, którą wcześniej raczyłeś poruszyć. - Zaczerwieniła się.

- Dobra - mruknął. - Nie będę poruszał kwestii całowania.

- Nie możesz nawet o tym myśleć. Tego wieczoru musimy się obyć bez przyzwoitki.

- Panno Maple, nie możesz kontrolować tego, o czym myślę! - Zwłaszcza teraz. Gdy tylko o tym wspomniała, utkwiał wzrok w delikatnym zagłębieniu jej dolnej wargi.

Nagle cały ten plan wydał mu się niezmiernie głupi. Po co tu w ogóle przyszedł? Obiecywać poprawę czy kraść pocałunki? Co robi się z dziewczyną taką jak Beth Maple, gdy pizza się już kończy? Gra się w szachy? Kto na Boga używa jeszcze słów takich jak przyzwoitka?

- Posłuchaj, po prostu zostawię ci tę pizzę, z przeprosinami. Przykro mi, że dzisiejszego popołudnia zraniłem twoje uczucia, insynuując, że żaden mężczyzna nie wyważyłby drzwi, aby cię pocałować. Ten właściwy na pewno by to zrobił.

- Przecież dopiero obiecałeś, że nie wrócisz do tematu pocałunków!

- Ale ty potem powiedziałaś, że nie mogę nawet o nich myśleć. To śmieszne. - Jaki mężczyzna nie myślałby o tym, znajdując się tak blisko takich ust? - Panno Maple, to poważna sprawa. Nie możemy uważać, że ta kwestia nie istnieje. - Westchnął ciężko. -

Chcesz zjeść ze mną tę pizzę czy nie? Ona stygnie. Nie proszę cię przecież, żebyś zamieszkała ze mną w chatce w leśnej głuszy i rodziła mi dzieci, na litość boską! Po prostu uważam, że twoje usta są, no cóż, prowokujące.

- Ta wizyta to nie najlepszy pomysł.

- Pewnie nie, ale może zaryzykujemy?

Przez chwilę się zastanawiała, jakby zamierzała zrobić najbardziej niebezpieczną rzecz w swoim życiu.

Stwierdził, że powinien mieć to na uwadze, przyglądając się z ukosa tym cholernie prowokacyjnym wargom. Nie miała pojęcia, jak postępować z mężczyznami takimi jak on, nawet jeśli utrzymywała, że wyważano już drzwi, aby ją pocałować.

A może właśnie to powinien zrobić? Staranować drzwi i ją pocałować, by się przekonała, że nie ma się czego bać.

Usłyszał skrzypienie zawiasów.

- Tylko się zachowuj - powiedziała mu tym swoim najsurowszym, najbardziej belferskim tonem.

- Dobrze, panno Maple - przytaknął potulnie.

Gdy w końcu przestąpił próg, po raz kolejny przypomniał sobie, że jest tu po to, aby naprawiać szkody, a nie wyrządzać nowe.

Jej sanktuarium wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewał. Poczuł się w nim jeszcze większy, niezdarny i przeraźliwie męski. Na podłodze stały ceramiczne wazy, dla których jego buty w rozmiarze czterdzieści cztery stanowiły prawdziwe zagrożenie. Na stoliku do kawy naprzeciwko telewizora stała ogromna misa, w której pływały prawdziwe żywe kwiaty. Jeden zbyt entuzjastyczny wybuch radości na widok przyłożenia i trzeba byłoby się z nimi pożegnać. Z misą pewnie też.

A także ze stolikiem na delikatnych, misternie rzeźbionych nóżkach.

Wszystko miało swoje miejsce, wokół panował idealny porządek. Ben czuł pewien dyskomfort, mając świadomość kruchości otaczających go przedmiotów, w jej domu nie było jednak nic sztywnego czy sterylne. Poduszki i narzuty tworzyły przytulną atmosferę. Ściany ożywiały oprawione w ramki prace uczniów Beth.

Ten dom niewątpliwie był kochany. Zauważył to, gdy jego właścicielka prowadziła go do kuchni. Podłoga była odnowiona, listwy pomalowane, okna lśniły. W kuchni wciąż jeszcze unosił się zapach ciastek, które piekła po południu.

- Co robiłaś? - zapytał, gdy podbiegła do kuchenki i wyłączyła gaz.

- Podgrzewałam zupę i rozwiązywałam krzyżówkę. Zupa nie może konkurować z pizzą.

Ugryzł się w język, zanim zapytał na głos, czy on może konkurować z krzyżówkami. Leżały na stole tak malutkim, że z trudem mieściła się przy nim jedna osoba, choć stały obok niego dwa stołki. Tu także zauważył kwiaty. Był pewien, że Beth sama je sobie kupiła.

Przypomniał sobie, że powinien się odpowiednio zachowywać. Beth wie życie, które lubi. Jest niezwykle rzadkim zjawiskiem - osobą zadowoloną ze swojego życia i swojego towarzystwa.

- Pomogę ci z tą krzyżówką - stwierdził, siadając ostrożnie.

Czy stółek jęknął pod jego ciężarem?

Podał jej pizzę, bo stół był zbyt mały, aby stanęło na nim pudełko. Beth uniosła brwi, ale wzięła od niego karton i wyjęła z szafki talerze.

- Nóż i widelec? - zapytała.

- Daj spokój.

Skrzywił się na widok krzyżówki. Mógł się przecież domyślić. To była jedna z tych naprawdę trudnych, znacznie przewyższała poziomem łamigłówek zamieszczane na ostatnich stronach lokalnej gazety.

Dostrzegł kącikiem oka, że Beth układa sztuczki przy swoim nakryciu.

- Lepiej od razu je odłóż albo zabieram moją pizzę do domu. Pizzę je się rękami.

Posłuchała jego sugestii i podała mu dwa talerze, bez sztuczków. Usiadła, wzięła kawałek pizzy i odgryzła kęs, a następnie oblizwała z sosu palec.

Nagle doszedł do wniosku, że nie powinien był jej zachęcać. Obserwowanie, jak panna Maple je pizzę rękami, było równie intensywnym erotycznie doznaniem jak obserwowanie jej, gdy pochłania lody.

Przypomni sobie, e s bez przyzwoitki. Nie wolno mu przecie nawet myle o czym, co byoby cho troch erotyczne. Skupi si wic na krzyowce.

- Synonim sowa tpy na pic liter? - zapyta, literujc w gowie swoje imi.

- Gupi?

Wzgardzi owkiem, ktory mu podaa, i wzi ze stou dugopis.

- Durny.

- Nie moesz jej wypenia dugopisem! - Nie wygladaa na szczeliw ju wtedy, gdy dotkn jej krzyowki palcami ubrudzonymi jedzeniem.

- Przecie zdecydowalmy si na ryzyko - przypomnia jej. - Kupi ci now krzyowk, jeli j wybrudz.

- Nie martwiam si krzyowk!

- Owszem, martwias. Punkt zapalny, na szec liter.

- Wulkan? Nie martwiam si t krzyowk.

- Martwias si. Pieko - stwierdzi uradowany. - Nieznone zachowanie, na osiem liter.

- Anderson? - odpowiedziaa sodkim gosem.

- Pasuje - odpar z aprobat i wpisa sowo. - To dla nas za proste. Nastepnym razem rozwiazujemy t z „New York Timesa”.

Nastepnym razem.wietny pomys, durniu.

Wieczor stawa si jednak coraz milszy. Gdy skupili si na krzyowce, Beth zapomnia o niemiaoci. Z przyjemnoci jada pizz.

- Incognito! - zawoaa.

- Nie pasuje.

Wyrwaa mu pioro, spojrza gniewnie na kratki i wpisaa: inkono.

- Panno Maple, zaczyna pani rozumie, o co w tym chodzi. To daje zuntkun pionowo.

- Zuntkun - powtorzya zemiechem. - Nazwa egzotycznego rogatego zwierzcia, zamieszkujcego Afryk, jeli si nie myl.

- Gotowe - oznajmi Ben po pogodzinie, spogladajc z uznaniem na peen zmyonych sow i skrele baagan.

Po pizzy nie został nawet ślad. Tak jak po jego samokontroli. Siedział tak blisko Beth, że czuł zapach lawendy i wanilii. Podobały mu się jej roześmiane oczy i zmarszczony od śmiechu nos.

Wyrwał krzyżówkę z książeczki.

- Co ty robisz?

- Teraz będę miał na ciebie haka. W razie konieczności pokażę twojej klasie, jak ich nauczycielka pisze słowo incognito. Nie użyję jej jednak, jeśli będziesz dbała o mój dobry humor.

- A jak niby miałabym to robić?

- Użyj wyobraźni. Kobieta, która w ten sposób literuje incognito i potrafi wymyślić nazwę gatunku rogacza zamieszkującego Afrykę, na pewno ma jej aż zanadto.

- Mam lepszy pomysł. Po prostu mi to oddaj.

- Nie jestem jednym z twoich piątoklasistów. Nie muszę robić tego, co mi każesz. Sama sobie weź. - Na widok jej miny odepchnął się od blatu.

Przysunęła się do niego.

- Oddaj to!

- Nie zmuszaj mnie do ucieczki. Masz tu kolekcję bardzo kruchych bibelotów.

Gwałtownie się wychyliła. Ben odwrócił się i wybiegł, trzymając krzyżówkę przed sobą. Pobiegnęła za nim przez kuchnię do salonu. Ścigali się wokół stolika do kawy i kanapy. Wazy na podłodze podskakiwały, ale żadna się nie rozbiła.

Beth zapędziła go w róg korytarza, gdzie utknął między nią a otwartymi drzwiami do jej sypialni, udekorowanej wieloma odcieniami panińskiej bieli. Miał dwa wyjścia - mógł ją staranować albo uciec do sypialni. Tak czy inaczej znalazł się w pułapce. Rozkosznej pułapce.

- Poddaj się - rozkazała, wyciągając dłoń.

- Poddaj się? Synonim słowa kapitulacja na dziewięć liter? Tego określenia nie ma w słowniku żołnierza piechoty morskiej.

Spróbowała wyrwać mu kartkę. Uniósł ją wyżej.

- Sama ją sobie weź - rzucił i roześmiał się, widząc jej nieudolne wysiłki.

Jej twarz promieniała. Wyglądała ślicznie, gdy zażarcie próbowała postawić na swoim. Podskoczyła kilka razy, a potem zaczęła się na niego wspinać.

Stanął na jego stopach, oparła się na nim całym ciałem, otoczyła ręką jego szyję i podciągnęła stopę na jego kolano, śmiejąc się przy tym do utraty tchu i marszcząc nos jak królik. Nagle uświadomiła sobie, co właściwie robi. Czy było jej równie przyjemnie jak jemu?

Znieruchomiała, a potem cofnęła się tak szybko, że prawie się przewróciła.

- Cóż - stwierdził cicho - to mi znacznie poprawiło humor. Twoja krzyżówka jest ze mną bezpieczna. Na razie. Niestety muszę się zbierać. - Zerknął na zegarek. - Kyle niedługo będzie w domu. Nie chcę, żeby wracał do pustego. Ma za sobą zbyt wiele takich doświadczeń.

- Dobry z ciebie człowiek, Ben.

Poczuł nagłą zmianę nastroju. Powietrze wokół nich zgęstniało, jak tego popołudnia, gdy Beth położyła mu dłoń na ramieniu.

Machnął jej przed oczami krzyżówką.

- Wcale nie jestem dobrym człowiekiem. Mam twoją krzyżówkę i nie zawaham się jej użyć. Nie zapominaj o tym.

- Odprowadzę cię do drzwi - odparła śmiesznie oficjalnym tonem, biorąc pod uwagę to, że jeszcze przed chwilą próbowała rzucić mu się na szyję. - Dziękuję za pizzę.

- Znów ta urzędowa nuta w jej głosie.

- Nie ma za co.

Stał tak przez moment, tylko na nią patrząc. Nie rób tego, powiedział sobie. Ona nie jest gotowa na trzęsienie ziemi. Nie jest gotowa na takiego mężczyznę. Nie ma sensu komplikować spraw.

To jednak ona dokonała wyboru, nie on. Był już prawie na progu, gdy poczuł na ramieniu lekki jak piórko dotyk. Odwrócił się, a wtedy Beth wspięła się na palcach i dotknęła wargami jego ust.

Była jak łyk czystej zimnej wody po latach picia solanki. Była ucieleśnieniem niewinności w świecie cynizmu. Pięknem wyróżniającym się pośród brzydoty. Nie była gotowa na mężczyznę takiego jak on.

A on nie był gotów na nią.

- Cóż - powiedziała, odsuwając się. Miała szeroko otwarte oczy, jakby nie mogła uwierzyć w swoją zuchwałość. - Cieszę się, że poruszyliśmy tę kwestię.

On nie był taki pewien swoich uczuć. Teraz już nie mogli wrócić do tego, co było. Wiedział, że od tej chwili będzie czuł na jej widok coraz większy głód. Jej wargi będą go coraz bardziej fascynować.

Wstrzymał oddech, gdy znów się w jego stronę pochyliła. Jeśli go pocałuje jeszcze raz, nie odpowiada za siebie. Ona naprawdę nie wie nic o mężczyznach?

Beth jednak wyrwała z jego ręki kartkę, o której zdążył całkiem zapomnieć, i roześmiała się triumfalnie. Może ona wie o mężczyznach więcej, niż okazuje? Bez trudu poradziła sobie przecież z jego mechanizmami obronnymi.

- Dobranoc, Ben - powiedziała słodko.

Przez całą drogę do domu rozmyślał nad tym, czy pocałowała go tylko dlatego, by odzyskać tę przeklętą krzyżówkę. Wciąż nad tym dumał, gdy zjawił się Kyle.

Ben ze zdumieniem spojrzał na siostrzeńca, który wręcz promieniał.

- Wujku, co to znaczy, jeśli dziewczyna cię pocałuje? - Nawet nie czekał na odpowiedź. - To chyba znaczy, że bardzo cię lubi, no nie?

Ben zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Chyba tak - odparł.

Albo chce odzyskać swą krzyżówkę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pocałowałam Bena Andersona, pomyślała Beth, wkładając resztki pizzy do lodówki i wyrzucając pudełko. Nie, nie tylko go pocałowałam, ja zainicjowałam ten pocałunek.

- I co z tego? - zapytała siebie. Przecież Ben do tego ją zachęcał. Zaryzykujemy, namawiał.

Jestem rozwiązła, zbesztala się w myślach. Wyuzdana. A potem się roześmiała. Rozwiązła? Wyuzdana? W tych czasach jeden pocałunek nie czyni z kobiety rozpustnicy.

Ma dwadzieścia pięć lat i ośmieliła się pocałować mężczyznę tak atrakcyjnego, że na jego widok przyspieszało jej tętno. Cieszyła się, że to zrobiła. Niczego nie żałowała - wręcz przeciwnie, była z siebie zadowolona. Przy nim chciała być inna: zerwać z nieśmiałością, strachem, uciekaniem od życia.

Chciała być osobą, która rozwiązuje krzyżówki na opak i umie przyznać, że to znacznie zabawniejsze. Rozprostowała swoją zdobycz i za pomocą magnesu przymocowała kartkę do drzwi lodówki.

Nowa Beth łamie zasady. Nowa Beth nie czeka, aż mężczyzna ją pocałuje, lecz sama wychodzi z inicjatywą, jeśli ma na to ochotę.

Przypomniała sobie to niezwykle doświadczenie i przeszedł ją dreszcz. Przeżyła już tyle lat, a nigdy dotąd nie całowała takiego faceta. Co za strata!

Ben Anderson smakował znacznie lepiej, niż sobie wyobrażała. Gdy dotknęła go wargami, mur, za którym się dotychczas chroniła, legł w gruzach. Poczuła wyzwolenie i nie zamierzała z niego rezygnować. Stara Beth czułaby się niezręcznie na myśl o kolejnym spotkaniu z Benem. Nowa Beth nie mogła się go doczekać.

Nareszcie czuła, że żyje. Zapadła w sen po fiasku z Ralphem/Rockiem. Została zraniona i odwróciła się od świata, aby leczyć obrażenia. Wmówiła sobie, że robi to dla swojego dobra.

Wszechświat miał dla niej jednak inny plan - zesłał jej Kyle'a, jego wujka, domek na drzewie i wszystkie wydarzenia ostatnich tygodni.

Ocknęła się z letargu. Czowała, że musi żyć, nawet jeśli jest to przerażające. Musi zmierzyć się z tą wspaniałą przygodą, jaką jest życie. A skoro już ma żyć, to trzeba ryzykować.

Zabawne, że tego olśnienia doznała nad zwykłą krzyżówką. To Ben jej pokazał, że trzeba się bawić i od czasu do czasu wyrzucić wszystkie reguły za okno.

Nadszedł niedzielny poranek, a jego ciężarówka wtoczyła się na podjazd. Wysiadł i obrzucił jej dom nieufnym spojrzeniem. Jakby nie wiedział, czego się spodziewać.

I dobrze. Podejrzewała, że dotychczas w pełni kontrolował swoje związki. To on decydował, co ma się wydarzyć i kiedy.

Ben, powiedziała sobie Beth, właśnie spotkałeś godnego siebie przeciwnika. Uśmiechnęła się szelmowsko.

Tydzień temu nawet by nie podejrzewała, że będzie się z nim mierzyć. Na chwilę rozsądek wziął w niej górę nad emocjami. Przecież jest ku temu powód - Ben jest znacznie bardziej doświadczony. W ogóle go nie zna. Pod każdym względem są swoimi przeciwnościami.

Emocje jednak zwyciężyły. Przecież widziała, jak Ben radzi sobie z Kyle'em, jaki jest cierpliwy, odpowiedzialny i skłonny do poświęceń. Jego wizja ogródka nabierała kształtów na jej oczach, a ona nie mogła się nadziwić, że dostrzegł w niej pragnienia, których nikt inny nie zauważał. Przypomniała sobie, jak opowiadał jej o siostrze. A kiedy pocałowała go poprzedniego wieczoru, wyczuła coś na jego ustach. Prawdę. To, że Ben jest silny, lecz samotny. Wesóły, ale pełen rezerwy. Potrzebuje uczucia i ciągle temu zaprzecza.

Zanim wyniosła do ogrodu kawę dla niego i gorącą czekoladę dla Kyle'a, zdążył już przypiąć pas z narzędziami. Wziął od niej kubek i coś szorstko mruknął, ale jego oczy o ułamek sekundy za długo spoczywały na jej ustach.

- Wie pani, co się stało? - odezwał się Kyle. - Mary Kay i ja byliśmy wczoraj w planetarium.

- I jak poszło?

- Super.

Zobaczyła w jego wzroku to, czego tak bardzo dla niego pragnęła - podekscytowanie i radość z bycia chłopcem zmierzającym ku dorosłości, który może kochać się w dziewczynie, a jednocześnie marzyć o domku na drzewie.

- Czy mógłbym ją tu przyprowadzić, gdy skończymy?

- Oczywiście.

- Nigdy nie skończymy, jeśli będziemy tu stać i pić kawę - wtrącił Ben. - Kyle, możesz zacząć zdejmować z naczepy drewno na platformę. Ułóż je tutaj.

Zamierzał chyba ją ignorować, ale Beth miała inny pomysł. Znalazła w piwnicy stary pas na narzędzia, który zaczęła sobie przypinać. Podniosła kilka desek i ruszyła w stronę stopni.

- Co ty robisz? - zapytał Ben.

- Pomagam.

- Przecież nie masz pojęcia, jak budować takie rzeczy - rzekł z westchnieniem.

- Cóż, ty do wczoraj nie miałeś pojęcia, jak rozwiązywać krzyżówki.

- Chyba nie chcemy, żeby to się tak skończyło. Budownictwo nieco różni się od rozwiązywania krzyżówek. Ma określony cel.

- Rozwiązywanie krzyżówek również.

- Niby jaki?

- To doskonałe ćwiczenie umysłu.

- Ale nikomu nie dzieje się krzywda, jeśli w trakcie popełnisz błąd. W tym przypadku jest inaczej. Nie chcesz chyba, żeby cała konstrukcja się rozpadła, kiedy w słoneczny letni dzień będziesz leżeć w swoim hamaku, popijać lemoniadę i czytać jakiś romans?

- Romans? - prychnęła.

Zostawiła wczoraj jakiś na wierzchu czy on czyta w niej jak w otwartej książce?

- To był tylko przykład.

Widział w niej osobę, która wypełnia sobie życie rozwiązywaniem krzyżówek i czytaniem romansów! A najbardziej irytujące było to, że niewiele się pomylił!

- Pokaż mi więc, jak używać, do cholery, tego młotka, tak żebyśmy ja, moja lemoniada i moje romanse nie skończyli w stosie drewna u stóp tego drzewa!

- Ho, ho, panno Maple. Nauczycielka nie powinna używać słowa „cholera”.

- Pojęcia nie masz o nauczycielkach.

Jego wzrok znów powędrował do jej ust. Zawahał się, a potem poddał, choć tego określenia nie było w jego żołnierskim słowniku.

- Dobrze. Umocuję szkielet, a potem pokażę ci, jak zakładać podnóżki.

Po krótkiej chwili zaczęła się zastanawiać, czy na pewno dobrze zrobiła, oferując Benowi swoją pomoc. Pracowali zdecydowanie zbyt blisko siebie. Cały czas stykali się ramionami. Przykrywał jej dłoń, aby jej pokazać, jak trzymać młotek. Jej zmysły były wyostrzone do granic możliwości.

Żyje. Tak intensywnie, jak chciała. Rozkoszuje się pracą fizyczną na świeżym powietrzu ramię w ramię z mężczyzną, upajając się jego zapachem i siłą.

Zanim się zorientowała, znaleźli się na szczycie schodów.

- Gotowe - oznajmiła radośnie.

- Niezupełnie. Teraz są to stopnie wiodące donikąd.

Oczywiście tylko mężczyzna mógłby tak pomyśleć! On jest taki pragmatyczny, a w niej jest tyle marzeń. Zdumiewające, jak w ogóle wpadł na pomysł tego domku!

Ostrożnie zeszła ze stopnia na gruby konar, by udowodnić Benowi, że te schody nie prowadzą donikąd.

- Hej, uważaj.

Zignorowała ostrzeżenie i rozsiadła się na gałęzi. Przed nią rozpościerał się wspaniały widok.

- Widzę stąd całe Cranberry Corners. To cudowne.

Tyle zyskuje, ryzykując i żyjąc na krawędzi. Wszystko widzi inaczej. Otwierają się przed nią zupełnie nowe światy.

- Lepiej stamtąd zejść.

Całkowicie go zignorowała. Zwiesiła nogi z gałęzi i westchnęła z satysfakcją.

- Jeśli spadniesz, cała się połamiesz. Spojrzała na niego. Był wyraźnie rozgniewany.

Szkoda.

- Czasami udaje mi się wcisnąć pomiędzy te romanse wartościową lekturę. Wiesz, jakie było motto Joanny d'Arc?

- Jasne. Zapisałem sobie motto Joanny d'Arc na lustrze w łazience. Co to za pytanie? Złaz natychmiast, Beth. Teraz nie czas na cytowanie Joanny d'Arc.

- Nie boję się - zapewniła go, machając nogami w powietrzu. - Po to się urodziłam.

- Nie wiem, czy pamiętasz, ale historia Joanny d'Arc nie skończyła się happy endem.

- W przeciwieństwie do moich pozostałych lektur?

- Chowanie urazy jest bardzo nieatrakcyjne.

Przepraszam, że insynuowałem, jakobyś mogła czytać dla rozrywki, kiedy nie studiujesz pism Arystotelesa. Złaz z tej gałęzi.

Spojrzała na niego ponownie. Miał naprawdę zaniepokojoną minę.

- To ty mnie zachęcałeś, żebym zaryzykowała - przypomniała mu.

- I do końca życia będę tego żałował. Beth, jeśli zaraz stamtąd nie zejdziesz, pójde po ciebie i ściągnę cię własnoręcznie na dół. Mówię poważnie.

- Konar chyba nie wytrzyma ciężaru nas obojga.

- Chyba nie.

Uwielbiała się z nim droczyć. I obserwować, jak się o nią martwi.

- Czy już pora na lunch? - zapytał Kyle, podchodząc do drzewa. - Hej, ale fajnie. Mogę też tam usiąść, proszę pani?

- Nie! - zawołali wspólnie Beth i Ben.

Beth pospiesznie zeszła z gałęzi, by Kyle nie podążył jej śladami. Ben wyciągnął rękę i opasał ją w talii, gdy tylko znalazła się w jego zasięgu. Uniósł ją i postawił na najwyższym stopniu, jednak jej nie uwolnił.

- Już jestem bezpieczna.

Jego dłonie się nie poruszyły. Oboje wiedzieli, że żadne z nich nie jest bezpieczne, bo to, co pomiędzy nimi narastało, było gwałtowne jak burza i równie elektryzujące.

W końcu ją puścił.

- Pojedziemy z Kyle'em coś zjeść - oznajmił lekko.

Wiedziała, że próbuje uciec od tego, co się pomiędzy nimi działo.

- Nie ma potrzeby - odparła. - Mam jeszcze mnóstwo pizzy z wczoraj.

Po chwili wszyscy siedzieli w kuchni. Wiedziała, że to pomieszczenie już nigdy nie będzie należeć tylko do niej. Ben zdążył odcisnąć na nim ślad. A tacy jak on odchodzą. Nie zostają na zawsze.

Teraz jednak nie ma to znaczenia. Przecież planowała żyć chwilą. Nie chciała się zastanawiać, co jej przyniesie przyszłość czy tkwić w pułapce przeszłości.

Ma cieszyć się chwilą.

- Podgrzać ją w piekarniku czy mikrofalówce?

Wybrali piekarnik. Gdy czekali, Beth zrobiła dzbanek lemoniady i zapytała Kyle'a o pokaz w planetarium.

- Hej! - zawołała nagle, dostrzegając ruch kąciem oka. - Odłóż to w tej chwili!

Ben jednak nie zamierzał wypuścić z rąk kartki, którą właśnie odczepił od lodówki. Odetchnął z satysfakcją i poskładał ją starannie, a potem włożył do kieszeni.

- To moje - powiedziała surowo.

- Dyskusyjne stwierdzenie.

- Była na mojej lodówce! Wyrwałeś ją z mojej książki.

- Moje, moje, moje. Myślałem, że w piątej klasie już umiecie się dzielić.

Nie zdołała się powstrzymać i głośno się roześmiała. On także. Kyle obrzucił ich zde gustowanym spojrzeniem i zaczął pochłaniać pizzę.

- Będzie jakiś deser? - zapytał.

- Kyle! - zawołał Ben.

Beth cieszyła się jednak, że chłopiec ma apetyt.

- Nie wracajmy od razu do pracy. Weźmy rowery i przejedźmy się do Friendly's na lody.

- A ile ty masz rowerów? - zdumiał się Ben.

Wyglądał tak uroczo. Z łatwością przejrzała jego plan, który zakładał trzymanie jej jak najdalej od domku na drzewie i gałęzi.

- Z pół tuzina. Kupuję je po okazyjnych cenach na policyjnych aukcjach. Kiedy jakieś dziecko ze szkoły potrzebuje roweru, zawsze mam jeden pod ręką.

- Te dzieciaki, ta szkoła są dla ciebie całym życiem, prawda? - powiedział miękko.
- Ma pani naprawdę wielkie serce, panno Maple - stwierdził takim tonem, jakby go to przerażało.

- Lody - przypomniała mu, bojąc się, że zacznie zbyt intensywnie rozmyślać o dzielących ich różnicach.

Kyle wydał z siebie śmieszny odgłos.

- Ja nie chcę lodów. Jedźcie beze mnie.

- Bez ciebie?

Powiedzieli to razem, z takim zdumieniem, że Kyle zapomniał o swoich mechanizmach obronnych.

- Nie umiem jeździć na rowerze - oznajmił ze złością, choć na jego twarzy malowała się niepewność. - I wiecie, co jeszcze? Nie umiem też pływać. Ani się ślizgać. Ale wiecie, co za to umiem robić? Wiem, jak upchnąć pod kurtką bochenek chleba i wynieść go z supermarketu bez płacenia. Wiem, że we wtorki do opieki społecznej przychodzi nowa dostawa. Wiem, jak wsiąść do autobusu tak, żeby kierowca mnie nie zauważył, i jak przyrządzić najskuteczniejszy na świecie lek na kaca. - Nagle się rozplakał. - Mam jedenaście lat i nie umiem jeździć na rowerze.

Przed słowem rower umieścił brzydkie przekleństwo.

Beth wpatrywała się w chłopca zszokowana, a potem przeniosła wzrok na Bena. Był przerażony widokiem łez siostrzeńca, ale szybko się opanował.

- Wielka mi rzecz - stwierdził niedbałym tonem. W mgnieniu oka znalazł się przy Kyle'u i objął jego szczupłe ramiona. - Jazda na rowerze to nie fizyka kwantowa. Mógłbym cię tego nauczyć w dziesięć minut.

Beth uświadomiła sobie, że na zawsze zapamięta tę chwilę, gdy dzięki sile i spokojowi Bena Kyle odzyskał równowagę. Gdy Ben spojrzał na nią nad głową dziecka, poczuła, że cała ta sprawa ją przerasta. Jego wzrok, mieszanina onieśmielającej siły i niesamowitej czułości, wstrząsnął nią do głębi.

Nie chodziło już o samo ryzyko, lecz o miłość. A czy miłość nie jest najbardziej niebezpieczna?

- W dziesięć minut? - wychrypiał Kyle.

- Mniej więcej.

Przecież nikt nie zdołałby nauczyć dziecka jazdy na rowerze w dziesięć minut!

- A ty? - zwrócił się Ben do Beth.

Nie chodziło już o samą naukę jazdy na rowerze. Miała zanurzyć się w nieznane wody, wspiąć się na zdradliwy szczyt. Pytanie brzmiało, czy jest gotowa na takie ryzyko.

Jakie miała opcje? Jej życie dotąd ziało pustką, choć usilnie wmawiała sobie, że ją satysfakcjonuje.

- Jasne, że tak - powiedziała z przekonaniem. Naprawdę tak czuła. To było jak jazda na rowerze.

Żadnych półśrodków. Sprawa wymagała całkowitego zaangażowania. Nawet jeśli ma zakończyć się siniakami, było warto.

Wybrali dla Kyle'a rower z garażu i wyprowadzili go na podjazd. Po chwili już biegali wokół niego, wykrzykując instrukcje i słowa zachęty. Tak jak w życiu, musieli pozwolić mu zrobić to samemu. Kyle tracił równowagę, przewracał się, ale w końcu złapał, o co chodzi. Byli tak pochłonięci nauką, że nawet nie zauważyli, gdy dziesięć minut zamieniło się w godzinę.

- Chyba jesteśmy gotowi na inauguracyjną przejażdżkę - stwierdził w końcu Ben. - Jedźmy na te lody.

- Naprawdę? - wykrztusił Kyle.

- Naprawdę? - powtórzyła Beth.

Do Friendly's było zdecydowanie za daleko dla rowerzysty nowicjusza. Droga wiodła wzdłuż ruchliwych ulic i przez wzgórza. Czy Kyle naprawdę powinien testować swoje nowe umiejętności w realnym świecie?

A może to ona boi się wyjść z kokonu swojego bezpiecznego podwórka? Pamiętała, jak wyglądało jej poprzednie spotkanie w lodziarni z Benem.

Wstał nagle i po prostu ją tam zostawił, samą, z nadjedzonym rożkiem!

Ale znów - jaki ma wybór? Wrócić do życia, które wiodła jeszcze kilka tygodni temu? Gdy ekscytowało ją czytanie wypracowań pełnych potencjału, a rozwiązanie trudnej krzyżówki dawało poczucie spełnienia? Gdy tworzenie drzewa z masy papierowej odczuwała jako wyzwanie, którego jej brakowało?

Jej życie już nigdy nie będzie takie samo, niezależnie od tego, co wybierze.

- Jedźmy - powiedziała.

Odbyli więc wycieczkę rowerową do lodziarni. A potem, zamiast wracać do domu, pojechali ścieżką wzdłuż rzeki i obserwowali, jak Kyle nabiera wprawy. Oddalał się od nich coraz bardziej, krzyczał żywoło na widok wzniesień, ścigał się i zostawiał po sobie tylko kurz.

- Jedź sam - oznajmił w końcu Ben. - Ja jestem wykończony. Zrobimy z panną Maple to, co robią starzy ludzie, po prostu położymy się pod tym drzewem i zaczekamy na ciebie.

- Jesteś pewien, że da sobie radę? - zapytała Beth, gdy Kyle odjechał.

- Jasne.

- Ale skąd to wiesz?

- Spójrz na niego. Czy widziałaś kiedyś dzieciaka bardziej gotowego do lotu?

Siedzieli pod drzewem, rozkoszując się promieniami słońca, ciszą i leniwym nurtem rzeki. Rozmawiali o drobiazgach: domku na drzewie, wspaniałych lodach, które zjedli, rowerach i dzieciach.

Beth była świadoma rodzącej się pomiędzy nimi zażyłości, równie zwodniczej jak leniwy nurt rzeki. Niewidzialny, lecz silny, wprawiający masy wody w ruch.

Całą sobą chłoneła obecność Bena. Widziała, jak patrzyły na niego kobiety w lodziarni, potrafiła odczytać język ciała tych, które mijali na deptaku.

Stara Beth czułaby się tym onieśmielona. Pomyślałaby: on jest poza moim zasięgiem. Albo: co taki facet mógłby we mnie widzieć?

Nowa Beth dobrze się z nim bawiła, rozwiązywała krzyżówki i jadła pizzę rękami, wymachiwała młotkiem i prowokowała go, siadając na gałęziach. Lubiła jego towarzystwo i była pewna, że on odwzajemnia to uczucie.

- Chciałbyś mnie znów pocałować? - zapytała, zdumiona swoją odwagą.

- Panno Maple, w co pani gra?

- Och, myślę, że pan wie, panie Anderson. Spójrz na mnie. Czy widziałeś kiedyś kobietę bardziej gotową do lotu?

Zawahał się na krótką chwilę, a potem pochylił się ku niej. Jego nozdrza zadrżały, gdy wyczuły jej zapach. Zamknął oczy i przysunął się bliżej.

- Beth - powiedział.

Jej imię zabrzmiało w jego ustach dokładnie tak, jak się spodziewała. Jak dziękczynienie.

Delikatnie musnął jej wargi. Poczowała się tak, jakby w końcu dotarła do domu, jakby poznała prawdę, której nie można zaprzeczyć.

Pocałunek stał się bardziej namiętny. Ben zawładnął jej ustami, głodny i nienasycony. Przyszło jej do głowy, że chyba nie do końca wie, jaką grę prowadzi, ale ta myśl jej umknęła, odpędzona uczuciem, którego dotąd nie знаła.

To nie był przyjacielski pocałunek. Była to pieszczota wojownika. Żądanie. Taki mężczyzna bierze wszystko, co kobieta może mu zaoferować. Musi się mu zrewanżować taką samą siłą i pragnieniem. Nie może liczyć przy nim na ciszę i spokój.

Taki mężczyzna porywa za sobą na sam szczyt. A upadek z takiej wysokości jest bolesny, chyba że umie się latać. Czy ona jest na tyle silna?

Czy nie boi się połamać skrzydeł?

- Ohyda.

Ben poderwał głowę. Żadne z nich nie spodziewało się, że pierwszy solowy występ Kyle'a będzie taki krótki.

Tymczasem on już przy nich był, siedział na rowerze śmiertelnie blady i patrzył na nich oskarżycielskim wzrokiem. Ben podniósł się energicznie, chwycił Beth za rękę i pociągnął ją na nogi, a potem stanął przed nią, jakby chciał ją ochronić przed miną swojego siostrzeńca.

- To nie było ohydne - odparł spokojnie.

Miał taką minę, że Kyle powstrzymał się od dalszych komentarzy.

- Tam dalej po rzece pływają łabędzie - poinformował ich. - Chciałem je wam pokazać. Są za ładne, żeby je oglądać w pojedynkę.

W jego głosie Beth usłyszała ostrożność i tęsknotę. Miał rację - istnieją w życiu rzeczy zbyt piękne, aby ich doświadczać w samotności.

Najpierw należy jednak zdobyć się na zaufanie. Kyle ma dopiero jedenaście lat, a już to wie.

Po raz pierwszy, odkąd zdecydowała się na zmianę, Beth poczuła strach. Ben umyślnie ją ignorował, gdy wsiadał na rower, aby pojechać za siostrzeńcem. Podążyła za nimi, choć pragnęła jak najszybciej wrócić do domu i z powrotem schronić się w swoim bezpiecznym kokonie.

Zabawne, że obserwujemy akurat łabędzie, pomyślała kilka minut później na widok pięknych, ozdobionych czarną strzałką główek i wygiętych z gracją białych szyi.

Zabawne, bo przecież ona właśnie rozpoczyna swoją przemianę z brzydkiego kaczątka. Jej przyszłość zapowiada się niespokojnie i niepewnie.

A niepokoju i niepewności z całego serca nie znosiła.

Supertajny dziennik Kyle'a O. Andersona

Gdy zobaczyłem, jak panna Maple i wujek się całują, rozbolał mnie żołądek. Moja mama też tak robiła. Całowała się, a zaraz potem szukała dla mnie miejsca, w którym bym jej nie przeszkadzał.

Czekałem więc. Byłem pewien, że wujek wręczy mi dziesięć dolców i każe mi jeść jeszcze raz na lody, ale tego nie zrobił.

Pojechaliśmy razem obserwować łabędzie, a potem wróciliśmy do domu panny Maple, aby jeszcze trochę popracować. Więcej się przy mnie nie dotykali i nie całowali.

Panna Maple pozwoliła mi zabrać do domu rower i po kolacji wybraliśmy się z wujkiem na jeszcze jedną przejażdżkę. Jazda na rowerze to bułka z masłem. Zapytałem wujka, czy tak samo łatwo można nauczyć się pływać i ślizgać, a on powiedział, że mężczyzna może osiągnąć wszystko, jeśli będzie konsekwentny.

Jakby myślał, że ja jestem mężczyzną.

- Jest coś, czego się boisz? - zapytałem go.

Przez długą chwilę nic nie mówił.

- Każdy czegoś się boi.

Nie powiedział mi jednak, czego on się boi, i wiecie co? Nie dopytywałem, bo założę się, że cokolwiek to jest, jest naprawdę straszne, gorsze nawet niż chwila, kiedy Dzyngis-chan staje pod bramami twojego miasta i każe ci się poddać.

Chciałbym, aby mój wujek niczego się nie bał, bo wszystko mi się ostatnio udaje: praca przy domku na drzewie panny Maple, jedzenie lodów i pizzy, wyprawa z Mary Kay do planetarium, i zacząłem od tego myśleć, że może naprawdę jest miejsce, w którym mogę się czuć bezpiecznie i właśnie je znalazłem.

Ha, ha. Zawsze, kiedy człowiek myśli, że coś znalazł, zaraz mu to zabierają. Zawsze.

TLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Beth go pocałowała, i to dwa razy. Ben starał się zachowywać przy niej jak dżentelmen, w czym nie miał zbyt wielkiego doświadczenia. To dlatego poszedł do niej poprzedniego wieczoru. Chciał postąpić jak dżentelmen i ją przeprosić.

Zamierzał jednak trzymać ją na dystans i traktować jak nauczycielkę siostrzeńca. Gdy rozwiązywali razem krzyżówkę, chciał jej tylko pokazać, że powinna się rozluźnić i choć raz w życiu trochę zabawić. Złamać kilka zasad, na litość boską.

Kto by się domyślił, że to ona zapragnie czegoś więcej i zawróci mu w głowie swoimi pocałunkami?

Istniała pewna szansa, że po raz pierwszy pocałowała go, by odzyskać krzyżówkę, i choć dzięki temu jego świat stał się mniej skomplikowany, czuł się zraniony tą myślą. Pocałunek numer dwa nie miał ukrytego celu. Beth nawet nie próbowała sięgnąć do kieszeni, w której schował kartkę z jej lodówki, gdy całowała się z nim nad rzeką.

Dzięki Bogu, bo sprawy pomiędzy nimi były wystarczająco zawikłane bez jej rąk w jego kieszeniach. Nie przypuszczał, rzecz jasna, że Beth jest typem kobiety, która sięgałaby w takie miejsca. Z drugiej strony, jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu był pewien, że nie będzie też inicjować pocałunków.

Z pocałunkami jest jeden problem: pociągają za sobą zobowiązania. A dla niego nigdy nie kończyło się to najlepiej. Kobiety pragnęły tego, czego nie mógł im ofiarować. Intymności, czasu, deklaracji. Jego części.

Chciał się tylko dobrze bawić, może trochę pośmiać, nie naruszając przy tym swojego grafiku, psychiki ani stylu życia. To wyjaśniałoby, dlaczego w jego przypadku od pierwszego pocałunku do finalnego trzaśnięcia drzwiami mijał najwyżej miesiąc, może dwa.

Nie chciał powtarzać tego wzorca w przypadku Beth. Znał ją zaledwie od kilku tygodni, a już czuł pustkę na myśl o powrocie do świata bez jej krzyżówek, domku na drzewie i wycieczek rowerowych.

- Posłuchaj - oświadczył, biorąc byka za rogi, gdy odstawiali rowery do jej garażu. Tego dnia prace nad domkiem niewiele się posunęły, dlatego tym bardziej chciał z nią porozmawiać. - Musimy poruszyć kwestię tego całowania.

- Musimy? - Miała tę samą upartą minę co wtedy, gdy machała nogami dziesięć metrów nad ziemią.

Zrozumiał, że nie pozwoli mu dyktować warunków.

- Nie chodzi o to, że mi się nie podoba - powiedział, czując na twarzy falę gorąca. Cholera. Czyżby się czerwienił? Nie, to pewnie tak działają wiatr i słońce.

- Nie?

- Podoba mi się, ale powinnaś wiedzieć, że jestem naprawdę do bani, jeśli chodzi o związki. A one właśnie tak się zaczynają: od pocałunków.

- Dziękuję za wykład, panie Anderson. Czy teraz będzie test?

- Próbuję ci coś powiedzieć!

- Próbujesz mi powiedzieć, że nie chcesz się ze mną wiązać.

- Tylko dlatego, że to by się źle skończyło. Wiem z doświadczenia.

- Wiesz, jakiego ważnego elementu brakowało w twoich poprzednich związkach?

Nie zachęcaj jej, pomyślał. Bo jest jasne, że ona nie jest żadnym ekspertem w tej dziedzinie. Musiał jednak uszanować jej opinię.

- Jakiego?

- Przyjaźni.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Skąd ona o tym wie? Miała rację - nigdy nie wiązał się z kobietami, z którymi mógłby się zaprzyjaźnić. I miał ku temu dobry powód. Dostatecznie wiele razy złamano mu serce. W wieku dwudziestu jeden lat doświadczył więcej strat niż inni ludzie przez całe życie.

Postawił więc na zabawę, która kończyła się, gdy tylko zaczynało mu na kimś założyć.

- Możemy być albo przyjaciółmi, albo kochankami. Nie możemy być jednym i drugim.

Z jej miny wyczytał, że nawet się nie zastanawiała, dokąd zaprowadzą ich te pocałunki.

- Wiesz, jak przejść od razu do sedna.

- Właśnie.

Przypatrywała mu się przez dłuższą chwilę. Miał wrażenie, że Beth Maple widzi w nim to, co tak skrętnie przed wszystkimi ukrywał.

Jej następne słowa to potwierdziły.

- Wiesz, Ben, wydaje mi się, że ty bardziej potrzebujesz przyjaciela niż kochanki.

Chciał jej powiedzieć, że ma mnóstwo przyjaciół, ale nie byłaby to prawda. Nigdy nie przyjaźnił się z kobietą.

- A ty czego potrzebujesz? - Sam był zdumiony, że zadał to pytanie, bo przecież tak bardzo bał się odpowiedzi.

Wstrzymał oddech.

- Niepotrzebne mi komplikacje, które pociąga za sobą fizyczny związek z członkiem rodziny mojego ucznia.

Zaczerwieniła się, gdy to powiedziała. Co za ulga. Jej słowa uświadomiły mu po raz kolejny, że taka kobieta nie nadawałaby się na kochankę. Ona wymaga znacznie więcej uwagi, choć chyba nawet nie była tego świadoma. Wymaga zaangażowania. Wiedział to od ich pierwszego spotkania, gdy z taką lekkością szafowała tym słowem.

Była dziewczyną, która nie zadowoliliby się namiastką uczucia i domagałaby się ze strony faceta pełnej uwagi. A on nie mógł jej tego ofiarować.

- Cóż, cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

- Ja też.

- Nie chodzi o to, że nie chciałbym cię pocałować.

- Rozumiem.

- Czyli ty też już więcej mnie nie pocałujesz?

Do czego to doszło? Błaga atrakcyjną kobietę, żeby go więcej nie całowała!

Dla jej własnego dobra. Może po prostu staje się lepszym człowiekiem?

- Postaram się - oświadczyła uroczyście.

A potem, gdy już zdążył pomyśleć, że rozwiązali tę kwestię, zachichotała. Z całych sił próbowała się powstrzymać, ale w końcu nieelegancko prychnęła śmiechem.

Spojrzał na nią gniewnie.

- Naprawdę będę próbowała się hamować - obiecała radośnie. - Ależ ze mnie wyuzdana rozpustnica. Nie chciałam się tak na ciebie rzucać.

- Nikt cię nie nazywa wyuzdaną rozpustnicą - zaprotestował ze złością.

Śmiała się już na cały głos.

- Wiesz przecież, jakie są czytelniczki romansów.

- Wiesz co, masz jedną strasznie irytującą cechę.

- Oprócz tego, że była prześliczna, gdy się śmiała.

- Twój mózg jest jak komputer, który zapamiętuje wszystko, co ktoś kiedykolwiek powiedział, żeby móc to potem wykorzystywać przeciwko tej osobie.

W końcu się opanowała.

- Wiesz, czego jeszcze brakowało w twoich poprzednich związkach? Poza przyjaźnią?

Najwyraźniej zamierzała mu to uświadomić, nie zwracając uwagi na to, czy on w ogóle chce to wiedzieć, A nie chciał. Spojrzał na nią gniewnie i skrzyżował ramiona na piersi.

- Myślenia. Nic dziwnego, że tak się znudziłeś.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem znudzony! - Nagle jednak uświadomił sobie, że ona znów ma rację. Za każdym razem w związku umierał z nudów.

- Cóż, z tego, co mówisz, wynika, że ktoś jednak był znudzony.

- Związki mogą się rozpaść z wielu innych przyczyn.

Beth nie sugeruje chyba, że to jego partnerki nudziły się przy nim?

- To fakt. Może jesteś kiepskim kochankiem?

Otworzył usta, by zaprotestować, ale zamknął je, gdy tylko dostrzegł na jej twarzy zmarszczki śmiechu. Nie zamierzał jej dawać kolejnych powodów do kpin.

Nie był już nawet pewien, czy chce się z nią przyjaźnić. Za dużo widzi. I mówi.

Jaki jednak miał wybór? Musi dokończyć ten domek na drzewie, a Kyle zostanie w jej klasie jeszcze co najmniej dziewięć miesięcy.

To są jednak tylko wymówki, bo w istocie jest samotny. I doskonale o tym wie. Beth ma rację: on potrzebuje przyjaciela. Takiego jak ona. Może nie zniszczą wszystkiego, przechodząc na kolejny poziom.

Czuł się tak, jakby właśnie przebrnął przez pole minowe. Wsiadł do furgonetki i wrócił do domu. Tuż za progiem Kyle oświadczył, że idzie odrabiać lekcje.

Ben przez chwilę kontemplował tę nagłą zmianę nastawienia siostrzeńca i pozwolił sobie na odrobinę satysfakcji: jego plan zadziałał, a jej nie. Może to jednak jazda na rowerze sprawiła ten cud? A to był już jej pomysł. Najwyraźniej są całkiem zgraną drużyną.

Wciąż się nad tym zastanawiał, gdy zadzwonił telefon. Na ekranie wyświetlił się prywatny numer Beth. Przecież dopiero się widzieli! Kiedyś marzył, by do niego zadzwoniła. To było jednak, zanim dowiedział się, że ta kobieta jest zdolna wstrząsnąć posadami jego świata.

- Mogę do ciebie dzwonić, skoro się przyjaźnimy, prawda? - zapytała. - To nie jest wbrew regułom, jak na przykład całowanie?

Miał nadzieję, że nie będzie wspominać o pocałunkach przy każdej nadarzającej się okazji.

- Możesz do mnie dzwonić o każdej porze - powiedział niezbyt mądrze, bo w istocie bardzo chciał z nią rozmawiać. A telefon jest bardzo bezpieczny. Nawet nie musiał przy tym oglądać jej ust.

- Nie sądzisz, że taki telefon jest zbyt bezpośredni? Nie ociera się o rozpustę?

- Nie - odparł ostro, próbując ukryć, ile radości sprawia mu ta rozmowa. - Długo jeszcze zamierzasz bawić się moim kosztem?

- Ależ skąd. Dzwonię w sprawie Kyle'a, więc to zdecydowanie nie jest rozpusta.

- Zdecydowanie - zgodził się, zawiedziony tym, że chodzi jej o dziecko, choć oczywiście doceniał jej troskę. Czy istnieje w ogóle lepszy temat do rozmów? Ten był miły i bezpieczny. - Oznajmił przed chwilą, że idzie odrabiać lekcje - poinformował ją szeptem.

Uświadomił sobie nagle, że nikogo na świecie poza nią to nie interesuje. Poczuł falę niechcianej czułości.

- Spróbuj nie robić z tego jutro wielkiej sprawy.

- Nie martw się, Ben, wcale mnie nie obrażasz, zakładając, że nie wiem, jak postępować z uczniami.

- Nie bądź taka drażliwa.
- To nie bądź taki apodyktyczny.

I tyle, jeśli chodzi o czułość. Jak dobrze, że postanowił nie komplikować spraw!

- Nie jestem apodyktyczny - jęknął.
- Po prostu za bardzo przywykłeś do dyktowania warunków?
- Prowadzę firmę!
- Nie możesz zachowywać się w życiu prywatnym tak jak w interesach.

Czy naprawdę odczuł radość, gdy zobaczył na wyświetlaczu jej numer? Czemu? To ona jest apodyktyczna, zadufana w sobie i drażliwa. Jakim prawem mówi mu, jak ma się zachowywać w życiu prywatnym? Z tego, co wiedział, sama nie ma żadnego.

Gdyby to jednak powiedział, zapewne znów skończyłby na jej progu z pizzą i przeprosinami. A ta droga wiedzie do pocałunków.

- Dlaczego zadzwoniłaś?
- Dużo myślałam o tym, że Kyle nie umie pływać - odparła, z łatwością zmieniając temat. - Martwi mnie to.
- Mnie również. To tak, jakby w ogóle nie miał dzieciństwa.
- Na to nigdy nie jest za późno.
- Czyżby? - rzucił sceptycznie.
- Moi rodzice mają basen. Takie miłe prywatne miejsce, w którym Kyle mógłby oswoić się z wodą i wziąć pierwszą lekcję. Nie sądzisz, że na publicznym basenie czułby się upokorzony?

Jego umysł utknął przy słowach: „moi rodzice”.

Nie lubił poznawać rodziców swych partnerek. Tyle że przecież wyjaśnił już Beth, że ona nie zostanie jego partnerką w potocznym rozumieniu tego słowa, więc dlaczego nie?

Odpowiedź na to pytanie poznał następnego wieczoru, gdy po szkole pojechał z Kyle'em do położonego na wzgórzu eleganckiego domu jej rodziców.

Beth wyszła im na spotkanie i zaprowadziła ich do przeszklonego budynku na tyłach głównego domu. Ben odetchnął z ulgą, gdy nie dostrzegł w pobliżu państwa Maple.

Beth pokazała im przestronną i luksusowo urządzonej przebieralnię, a chwilę później znaleźli się przy basenie. Ben wszedł do wody, aby sprawdzić jej głębokość, a Kyle stał na brzegu, pokryty gęsią skórą i przerażony.

Z drugiej przebieralni wyszła Beth. Miała na sobie obszerny, śnieżnobiały gruby szlafrok. Rozejrzała się wokół, wzięła głęboki oddech i zrzuciła okrycie.

Naprawdę nie powinien był oglądać kobiety, której przysięgał nie całować, w stroju kąpielowym. Założył kiedyś, że nosi jednoczęściowy kostium, z szortami, których nigdy nie ściąga, ona tymczasem miała na sobie mieniące się miedzią szmatki rozmiaru chusteczek do nosa, które wyglądały na zupełnie nowe. Beth rozmyślnie go tak dręczy, bo zdecydował, że pozostaną tylko przyjaciółmi?

Na pewno nie! Beth Maple nie jest przecież tak przebiegła. Tyle że musiała wiedzieć, jakie wrażenie wywrą na nim jej skąpo odziane krągłości! Nikt nie jest aż tak niewinny!

Zanurkowała w basenie, udowadniając tym samym, że jej odwaga jest dla niej równie uciążliwa jak dla niego i że nie ma pojęcia, że takie stroje nie są zaprojektowane do pływania wyczynowego. Wynurzyła się z wody, podtrzymując stanik ręką.

- Jakies problemy? - mruknął.

Nie, tych skrawków materiału zdecydowanie nie należy moczyć.

- Ależ skąd - odgryzła się, sięgając do tyłu i próbując ściągnąć sznureczki, które podtrzymywały stanik.

Wkrótce całkiem zapomniała o tej niedogodności. Jej entuzjazm był tak zaraźliwy, że z łatwością namówiła Kyle'a do wejścia do wody i zaczęła się z nim bawić w coś, co nazywała motorówką. Kyle miał wydmuchiwac pod wodą bąbelki z ust. dzielnie pokonywał strach i przyzwyczajał się do zanurzania głowy.

Ani na chwilę nie dała chłopcu odczuć, że to lekcja pływania. Pierwsza wizyta Kyle'a na basenie była czystą zabawą. Pluskali się we trójkę. Beth przyniosła im piłkę, aby mogli trochę pograć. Godzina minęła w mgnieniu oka.

Pod wpływem tego doświadczenia Ben zaczął marzyć o tym, by zabrać Beth nad Pacyfik w jedną z tych nocy, gdy niebo i woda stają się jednością. Czy powinien żywić takie plany w stosunku do przyjaciółki?

Gdy w końcu wyszli z basenu, nadeszła chwila, której tak się obawiał. Pojawili się rodzice Beth. Pani Maple przyniosła im grube białe szlafroki, a następnie zaprosiła na małą przekąskę.

Ben zauważył, jak zmierzyła wzrokiem strój kąpielowy córki, zanim Beth zdążyła włożyć szlafrok.

Panna Maple jednak jest przebiegła! Był gotów założyć się o swoją firmę, że jej strój był zupełnie nowy i dobrany tak, aby zawrócić mu w głowie.

Po kilku minutach dołączył do nich ojciec Beth. Ben łatwo nawiązywał kontakty, a dzięki swojej pracy nie czuł onieśmienia na widok zamożności. Z niechęcią podchodził do pomysłu poznania jej rodziców, ale wkrótce uświadomił sobie, że przecież nie musi zachowywać się jak licealista, który przyjechał po swoją partnerkę na bal maturalny. On i Beth nie umawiają się na randki.

Państwo Maple byli wyraźnie oddani swojej najmłodszej córce i sobie nawzajem. Szybko stało się jasne, że rodzina jest dla nich największą wartością, a ich życie koncentruje się wokół dzieci i wnuków. Z tego właśnie powodu wybudowali basen.

Rodzina. Ben już dawno odwrócił się do tej idei plecami, bo napełniała go obezwładniająca tęsknota. Wiedział, że sam nie będzie jej miał.

Przyglądał się srebrnowłosej, szczupłej i eleganckiej Rene, myśląc, że właśnie tak będzie wyglądała Beth, gdy się zestarzeje. Miał nadzieję, że jej oczy będą miały wtedy taki sam wyraz całkowitego zadowolenia kobiety, która wie, że jest kochana.

Po chwili uświadomił sobie, że przecież na pewno nie zobaczy nigdy Beth z siwymi włosami. Ona właśnie tego pragnęła - bliskości, rodzinnych zebrań, wspólnego spędzania czasu.

Ojciec Beth, Franklin, nie zamierzał go przesłuchiwać. Dzielił się z nim wspomnieniami z wojska, w żaden sposób go nie testując.

Przyzwyczajony do ciągłej obecności wnuków, z łatwością włączył Kyle'a do rozmowy.

- Trzeba umieć pływać - stwierdził, gdy chłopiec wyznał mu, że dopiero się tego uczy. - Nigdy nie wiesz, kiedy wypadniesz z łodzi podczas wędkowania.

- Nigdy nie byłem na rybach.

- Nigdy nie byłeś na rybach? Musimy jak najszybciej to naprawić. Zabieram wnuka na ryby w następny weekend. Jest mniej więcej w twoim wieku. Może pojedziesz z nami? - Mógłbym, wujku?

Ben odwrócił głowę, próbując nie dostrzegać nadziei w oczach Kyle'a. Świat Beth coraz bardziej ich pochłaniał. Bał się, że Kyle dozna kolejnych krzywd, ale nie zdołał mu odmówić.

Ben wymyślił zakaz całowania, aby narzucić dystans sobie i Beth, ugasić pragnienie, które oboje odczuwali, ale już po dwóch tygodniach wiedział, że efekt jest dokładnie odwrotny.

Zakaz dawał im szansę, aby się lepiej poznali. Z każdym dniem Beth coraz bardziej go intrygowała. Mógł z nią rozmawiać tak, jak z nikim dotąd nie rozmawiał. Nie o pogodzie, statystykach futbolowych czy najlepszej pizzy w mieście, lecz o rzeczach, które są naprawdę ważne. Edukacja, polityka, sprawy lokalne. Ich dyskusje były niezwykle satysfakcjonujące. Nie zawsze się z nim zgadzała, w zasadzie prawie nigdy, ale on naprawdę uwielbiał się z nią spierać. Przy niej jego mózg wrzucał szósty bieg.

Wkrótce zaczął dostrzegać, że potrafi bezbłędnie odczytać jej nastrój z linii jej ramion i wyrazu oczu.

Ignorował wszystkie te oznaki i zagłębiał się w tym uczuciu coraz bardziej, a jego życie w coraz większym stopniu wokół niej się koncentrowało. Prawie bez przerwy u niej przesiadywał - budowali wspólnie domek albo jeździli na rowerach. Dwa razy w tygodniu korzystali z basenu jej rodziców. Kyle pojechał na ryby z jej ojcem i zaprzyjaźnił się z jej siostrzeńcem, Peterem.

Nawet Carly zauważyła, że coś zmienia się w życiu jej brata i syna. Podczas jednej z wizyt odprowadziła wzrokiem Kyle'a, który udał się do kafeterii po coś do picia.

- Wydaje się szczęśliwy - oznajmiła.

Wiedział, że to okropne tak myśleć, ale w szpitalu jego siostra była znacznie miłsza. Bez dostępu do narkotyków i alkoholu z każdym dniem stawała się lepszym człowiekiem. Gdy jednak jej duch się umacniał, ciało słabło.

- Kim jest panna Maple? - zapytała, odwracając nagle głowę w jego stronę.

- Jego nauczycielką.

- Nie, Ben, kim jest dla ciebie?

- Tylko znajomą.

- Chciałabym ją poznać.

Jakby ich życie nie było już dostatecznie skomplikowane! Był zdumiony tym, jak bardzo nie chce dopuścić do spotkania tych dwóch kobiet.

Wiedział, że Beth od razu dostrzegłaby prawdę. Choroba Carly łamała mu serce. Znając Beth, wiedział też, że ona zaraz zaczęłaby próbować je naprawiać.

Kim ona jest dla ciebie? Wspaniale się czuł, mogąc spędzać z Beth coraz więcej czasu i udając, że jeśli jej nie całuje, może się nie martwić.

Pytanie siostry wstrząsnęło nim jednak do głębi, bo jego serce odpowiedziało od razu, zanim rozum odmówił ubrania tego w słowa.

Kim ona jest dla ciebie? Wszystkim.

Opuścił szpital z poczuciem, że gwałtownie wyrwano go ze snu, do którego pozwolił się utulić. Był ponury i zdeterminowany. Ta przyjaźń to nie był dobry pomysł. Za daleko to zaszło. Zbyt się zaangażował.

Czas się wycofać, pora podjąć decyzję, zamiast dawać unosić się fali.

Wiedział, co trzeba zrobić. Musi odzyskać swoje życie. Koniec z rozrywkami. Żadnego pływania i jazd na rowerze. Musi tylko skończyć domek na drzewie.

W ten sposób się pożegna - da jej ten ostatni prezent i powie do widzenia.

Tyle że w jej przypadku nic nie układało się tak, jak to zaplanował. No i pozostaje jeszcze kwestia pocałunków.

Nie wszystkim kobietom pochlebiałoby, gdyby przystojny mężczyzna poprzysiągł sobie, że nigdy ich nie całuje. Beth odczuwała to zdecydowanie inaczej. Wiedziała, że Ben naprawdę chce, aby pozostali tylko przyjaciółmi. Kolejny pocałunek zwałiby go z nóg!

To, co jego przerażało, jej dodawało sił. Jak taki facet może się jej bać? Wiedziała, że powinna odczuwać wyrzuty sumienia, ale nic nie mogła poradzić na to, że jego skrupowanie dostarcza jej tyle rozrywki.

Z każdym dniem jednak była coraz bardziej świadoma tego, że Ben Anderson po prostu obawia się tego, co do niej czuje. Wiedziała, że powinna uszanować jego decyzje,

ale przecież była tylko człowiekiem - nie mogła się powstrzymać przed dręczeniem go. Chciała doprowadzić do sytuacji, w której on zapragnie jej tak mocno, że zrezygnuje w końcu ze swej słynnej samokontroli.

Na razie nic takiego się nie wydarzyło, ale była pewna, że to tylko kwestia czasu, by Ben poddał się temu, co wokół nich unosi się w powietrzu.

Z determinacją zacieśniała więzy między nimi. Jej rodzice uwielbiali i jego, i Kyle'a. Kyle stał się w zasadzie członkiem jej wielkiej kochającej rodziny. Jeśli przekroczyła przy tym linię oddzielającą jej życie zawodowe od prywatnego - trudno. Gdy obserwowała, jak Kyle rozkwita, wiedziała, że było warto.

Ten weekend miał się okazać punktem zwrotnym. Tym razem Ben przyjechał do niej sam.

Wyszła na dwór, aby go przywitać, ale zachwiała się, gdy nie zobaczyła na jego twarzy uśmiechu, do którego zdążyła się już przyzwycząić. Ledwie na nią spojrzął i od razu chwycił swój pas z narzędziami.

- Dzisiaj skończę domek.

Zamarła, gdy dotarło do niej to, czego nie powiedział na głos. Domek na drzewie ich połączył, to była ich historia.

Niektóre pary mają swoją ulubioną piosenkę, oni mieli ten domek. Rzecz jasna, większość par się całowała. I zazwyczaj obie osoby chciały być częścią tej pary.

I o to właśnie mu chodziło, uświadomiła sobie. Zakaz całowania nie zadziałał. Ben nie zdołał narzucić sobie dystansu, zamierza więc stopniowo od niej się odcinać.

Wierzyła, że go przy sobie zatrzyma, ale teraz dostrzegła, że on wcale o tym nie marzy. Ben boi się tego, za czym ona tęskni.

Przypomniała sobie jednak, że przecież ma w sobie więcej siły, niż on się domyśla. Kobieta, którą była jeszcze miesiąc temu, po prostu zaakceptowałaby to spojrzenie i poddała się jego decyzji.

Ona jednak była już kimś zupełnie innym. Zamierzała walczyć.

Szybko zapadł zmierzch, a Ben wbił w konstrukcję ostatni gwóźdź. Domek na drzewie był skończony.

Stali blisko siebie, zapatrzeni w niego, ale się nie dotykali.

- Już za późno, żeby wstawić tam donice z roślinami, które zwabią motyle. Dam ci listę, żebyś mogła je wiosną posiać. Nie ma sensu też wieszać hamaka. Jest już za zimno, żebyś mogła w nim wypoczywać.

Ty. Nie my. Nie przeoczyła tego drobiazgu.

Ben ma rację.

Wrzesień niepostrzeżenie przeszedł w chłodny październik. Jego oczy także były zimne.

- Zaczekaj jeszcze chwilę.

Pobiegła do domu i wyjęła z szafki butelkę szampana, którego kupiła dawno temu, gdy planowała spędzić weekend z Rockiem. Tyle że on się nie pojawił.

Po co ją zatrzymała? Żeby mogła się w nią wpatrywać i nad sobą użalać?

Wspięła się na platformę z butelką i dwoma kieliszkami w dłoni, zamierzając rozkoszować się każdym łykiem szlachetnego trunku. Symbolicznie zrywała tym samym z przeszłością. Gdy spojrzała na Bena, uświadomiła sobie jednak, że już dawno to zrobiła.

- Zamierzasz rozbić ją na pniu? - zapytał bez iskry w oku, która zawsze towarzyszyła jego kpinom.

- Nie, zamierzam się upić i spaść z platformy.

Iskra rozbłysła, ale zaraz zgasła. Ben nie pozwolił dać się wciągnąć do jej świata. Jeszcze wczoraj jakoś by to skomentował, ale dziś się nie odezwał.

Odkorkowała szampana z hukiem, choć atmosfera nie była radosna. To jest pożegnanie. Pożegnanie jesieni i tego, co narodziło się pomiędzy nimi.

Napełniła kieliszki i jeden podała Benowi. Podniósł go do ust i spojrzał jej w oczy.

- Oby spełniły się wszystkie twoje marzenia, Beth.

Twoje, nie nasze. Zdecydowanie zamierza się z nią pożegnać.

- A co ty wiesz o moich marzeniach? - zapytała cicho, popijając szampana.

Roześmiał się gorzko.

- Myślisz, że mógłbym spędzić z tobą tyle czasu i ich nie poznać? Marzysz o uczuciu takim, jak miłość twoich rodziców, i o życiu, które oni wiedzą. Marzysz o rodzinie i huśtawce na ganku.

- Wcale nie! - zaprotestowała.

- Ależ tak.

- Może kiedyś ja też o tym marzyłam, ale już dawno zrezygnowałam z tych mrzonek.

- Tak myślałaś. Jego zdrada cię zabolęła, ale tylko na chwilę.

- Skąd wiesz o Rocku? - szepnęła. Kto mu powiedział? Ktoś z jej rodziny? Dobry Boże.

- Rock - prychnął. - Powinnaś była odwrócić się na pięcie i uciec, gdy usłyszałaś, jak ma na imię.

- Kto ci powiedział?

- Och, Beth, to wszystko mi o nim powiedziało. - Pokazał szerokim gestem jej podwórko. - Mały domek dla singla, samochód, z którym się cackasz jak z dzieckiem. Twoja postawa zapiętej pod szyję, poświęcającej życie uczniom nauczycielki powiedziała mi o twoim złamanym sercu.

- Jak śmiesz mówić o mnie tak, jakbym była żalosna!

- Nie sądzę, abyś była żalosna. Naprawdę. Ty po prostu pragniesz pewnych rzeczy, Beth. Nie ma w tym nic złego. I nie ma sensu marnować życia dla faceta, który ci ich nie da.

Była zdumiona, że Ben tak ją postrzega, bo przekonała samą siebie, że po historii z Rockiem/Ralphem z tego wszystkiego zrezygnowała. Dopiero teraz pojęła, że Ben ma rację.

Przekonała samą siebie, że tylko się z nim droczy, bo chce sprawdzić, czy zdoła go nakłonić do rezygnacji z jego decyzji. Wmówiła sobie, że chodzi tylko o odzyskanie siły i twarzy, którą straciła.

Jednak w głębi ducha czuła, że marzenie o miłości wkrada się na powrót do jej życia, ukryte pod maską śmiechu. Ben dostrzegł to znacznie wcześniej niż ona.

- Nieważne, czy pomyślisz, że jestem żalosna. Wiesz, co zrobiłam? Zakochałam się przez internet. Konserwatywna, ostrożna nauczycielka. To jest żalosne.

Nie mogła uwierzyć, że płacze, ale nie mogła też przestać mówić.

- Okazało się, że on nawet nie był prawdziwy. Ukradł z jakiejś strony zdjęcia modela i przesyłał mi je jako swoje. Nawiązał takie relacje z tuzinami kobiet. Skontaktował

się ze mną nawet w tej sprawie detektyw. Zapytał, czy kiedykolwiek przesyłałam mu jakieś pieniądze.

- Przesyłałaś? - W jego głosie czaiła się wściekłość.

- Powiedziałałam, że nie, bo czułam się taka głupia, że uwierzyłam w tę jego historię. Spadek, o który toczyła się sprawa w sądzie. Czek z jego pensją wstrzymywany przez biurokrację w Abu Dhabi. Zawsze był tak szczerze zawstydzony. Wszyscy mnie ostrzegali. Rodzina, przyjaciele. Tak desperacko pragnęłam wierzyć, że to, co czuję, jest prawdziwe, że w ogóle ich nie słuchałam. Powiedziałałam więc temu detektywowi, że nie wysłałam mu żadnych pieniędzy, bo chciałam, żeby to się po prostu skończyło. Nie chciałam zemsty. Nie chciałam, aby moje nazwisko widniało na liście jego ofiar.

- Wiesz, że go zabiję, jeśli go kiedyś spotkam?

Nagle znalazł się obok niej i otoczył ją ramieniem. Poczuli się bezpiecznie. Słowa wypływały z jej ust szerokim strumieniem.

- Najdziwniejsze jest to, że przez długi czas wierzyłam, że był prawdziwy. Oplakiwałam go tak, jakby umarł mi ktoś bliski.

- A teraz?

Teraz wiem, jak wygląda rzeczywistość i tobie powinnam za to dziękować, pomyślała.

- Nie mogę uwierzyć, że zmarnowałam na niego chociaż jedną łzę.

Ujął w dłonie jej twarz, otarł palcem wilgoć z jej policzka. Dotknął jej ust i spojrzał głęboko w oczy. Jego postanowienia zaczęły się chwiać.

- Chodź tutaj. - Westchnął, usiadł na gołych deskach i posadził ją sobie na kolanach. Dom.

Czy nie o tym marzyła, gdy kupowała ten mały zrujnowany budynek?

Dom to jednak tylko drewno i kamienie. Prawdziwym schronieniem stały się dla niej ramiona Bena. Spojrzała mu w oczy. Pragnęła prawdziwego mężczyzny. Takiego jak on.

- Chciałbym cię zapewnić, że nie doznasz już więcej krzywd - powiedział w końcu cicho - ale nie mogę. Czasami życie jest naprawdę do bani.

- I dlatego trzeba mieć takie miejsce jak ten domek. - Takie, jak twoje ramiona.

Nie odpowiedział.

- Ben?

- Tak?

- Opowiesz mi? O tym, co cię boli?

- Mam się z tobą dzielić opowieściami z wojny? Nie sędzę.

- Podziel się zaufaniem. Pozbądź się ciężaru.

- Nie chcę obciążać nim ciebie, Beth.

- Sam dźwigałeś go wystarczająco długo.

- Beth, dlaczego tak bardzo starasz się mnie osłabić? Ja muszę pozostać silny.

- Nie sędzę, aby wydarzenia, które cię ukształtowały, mogły świadczyć o słabości.

To wymaga odwagi, otwarcia się, zerwania z samotnością. Powiedz mi.

Milczał przez chwilę; wstrzymała oddech. A potem uległ jej prośbie i przemówił:

- Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy miałem siedemnaście lat.

Mieliśmy rodzinę taką jak twoja, tyle że bez finansowego zabezpieczenia. Nie miałem o tym pojęcia, kiedy dorastałem. Mieliśmy wszystko: piękny dom, ładne ubrania, mnóstwo jedzenia, pieniądze na dodatkowe zajęcia. Gdy rodzice zginęli, okazało się jednak, że to wszystko iluzja. Dom był obciążony hipoteką, nie byli ubezpieczeni, nie mieli żadnych oszczędności.

- To straszne. Musiało ci być bardzo ciężko.

- Czasami wydaje mi się, że moja rozpacz pokonała żal. Musiałem szybko znaleźć jakiś sposób na życie. Nie było w ogóle mowy, abym mógł zająć się siostrą. Przygarnęła mnie piechota morska. Dobre miejsce dla chłopaka, który wszystko stracił. Miałem cel w życiu i nową rodzinę. Nie miałem czasu na żalobę. Ale Carly, biedna Carly...

Była ode mnie znacznie młodsza. Miała dopiero czternaście lat, gdy wydarzyła się ta tragedia. To trudny wiek, nawet i bez tego. Rodzice zginęli, ja miałem wyjechać. Do dzisiaj słyszę, jak płakała, gdy oznajmiłem jej, że się zaciągnąłem. Była marzycielką. Myślała, że jakoś damy sobie radę razem. Chciała rzucić szkołę i pójść do pracy, myślała, że ja postąpię tak samo. Dwoje nieletnich z najniższą pensją, bez ubezpieczenia, bez żadnych oszczędności. Wiedziałem, że to się nie uda, a ona mnie za to znienawidziła.

Potrząsnął głową.

- Tułała się od jednej rodziny zastępczej do drugiej, gorzkiała i twardniała w środku. Zaczęła szaleć, zaszła w ciążę. Nie wiem nawet, czy powiedziała o tym ojcu dziecka. Może w ogóle go to nie obeszło. Do mnie się nie zwróciła. Nigdy mi nie wybaczyła, że ją zostawiłem. Ja też nie mogłem sobie tego wybaczyć. Patrzyłem na nią i zastanawiałem się, co mogłem wtedy zrobić inaczej.

Jego ramiona ugięły się pod ciężarem bezsilności.

- Przecież teraz coś robisz - powiedziała miękko Beth.

- Już za późno. Nie ocalę siostry.

- Ale uratujesz Kyle'a.

- Beth, widzisz we mnie kogoś, kim nie jestem.

- Chcesz w to wierzyć. A ja dostrzegam to, kim jesteś naprawdę, Ben.

- Tak? - W jego głosie znów pojawiła się ta kpiąca nuta, jakby jednak zdecydował się zostać.

A ona postanowiła zaryzykować.

- I właśnie w prawdziwym Benie Andersonie zaczynam się zakochiwać.

Pocałowała go w domku na drzewie, pod baldachimem z liści, które mieniły się nad ich głowami bogactwem barw.

- Tego się właśnie obawiałem - szepnął.

- Już nie musisz się bać, Ben.

Skapitulował i zaczął ją całować.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ben pojechał do domu Beth, aby to zakończyć. Wszystko. Niepokoiło go, że nawet tak zdecydowany plan, wspierany całą siłą jego woli, się nie powiódł.

Beth po prostu jak na dłoni widziała jego wady. Dostrzegała pod maską wojownika strach.

Bał się straty. Bał się kochać, a Beth wiedziała dlaczego. Dostrzegała jego wady i zalety, mocne i słabe strony, i kochała go mimo wszystko. Widział to w jej oczach. Dokładnie wiedziała, kim on jest, a jednak zamierzała podjąć ryzyko.

Sprawiła, że znów poczuł nadzieję na lepszy świat i lepsze życie.

Pojechał do niej, aby się z nią pożegnać, lecz nie był w stanie jej zostawić. Nie był w stanie pozbawić się poczucia przynależności. Uwiodła go magia miejsca ukrytego w liściach, jej spojrzenie i to, co czuł, gdy się na nim opierała, jakby to było jej miejsce na ziemi, jakby do niego należała.

Miała rację, jak zwykle zresztą - była to jedna z jej najbardziej irytujących, a przy tym ujmujących cech. Lepiej się poczuł, gdy opowiedział jej swoją historię. Zaufał jej. Nie czuł się już taki samotny.

Już dawno stracił nadzieję, że jeszcze kiedyś zdoła nawiązać taką relację z drugim człowiekiem. Przeznaczenie wyśmiało jego postanowienie, by z nią zerwać. Zamiast tego całą noc przesiedzieli w domku na drzewie. Obserwowali, jak niebo purpurowieje, a potem czernieje na horyzoncie, obserwowali gwiazdy, które mrugały do nich pomiędzy pomarańczowymi i czerwonymi liśćmi, przypominającymi im, że zbliża się zima.

Wypili wino, a potem zeszli na dół po kawę i koce. Owinęli się jednym z nich i obserwowali wschód słońca. Gdy w końcu Ben się od niej odsunął, nie był to dla nich koniec, lecz pod każdym względem zupełnie nowy początek.

Wrócił do domu, upojony nie winem, lecz zmęczeniem i spojrzeniem Beth. Upojony świadomością, że ją pokochał i tym, że być może znajdzie w sobie tyle siły i odwagi, aby zgodzić się na to uczucie.

Powinien jednak być mądrzejszy. Co takiego jej powiedział? Że życie jest do bani. Nieupiększona, pozbawiona poezji prawda, o której zapomniał, lecz o której zaraz mu przypominano.

Ledwie się rozebrał i położył, gdy zadzwonił telefon. Kto mógłby dzwonić o tak szalonej porze? Kto wie, że on jeszcze nie śpi? Sięgnął z radością po słuchawkę, myśląc, że to Beth. Być może chce powiedzieć mu jeszcze coś, zanim zaśnie.

Gdy podnosił słuchawkę, na ułamek sekundy zobaczył oczami wyobraźni, jak mogłoby wyglądać jego życie. Mógłby zasypiać z nosem we włosach Beth i wtulonymi w niego jej apetycznymi krągłościami. To do niej kierowałby ostatnie słowo przed zaśnięciem i pierwsze po przebudzeniu.

Powiedziała, że się w nim zakochuje.

On także się w niej zakochiwał. W końcu odważył się to przyznać. I po raz pierwszy w życiu dostrzegł dla siebie alternatywę.

Nie chciał już uciekać. Zamarzył o miejscu, w którym mógłby złożyć głowę, zdjąć zbroję, w którym mógłby kochać i być kochany.

- Halo. - Jego głos był powitaniem.

W końcu był gotów, aby jej powiedzieć, gotów się przekonać, dokąd ich to zaprowadzi.

Tyle że to nie była ona.

- Pan Anderson?

Jego serce zamarło. Oficjalny ton i nuta współczucia zdradziły mu wszystko, zanim padły pierwsze słowa. Zbyt mocno uwierzył w szczęśliwe zakończenie.

Carly.

- Proszę jak najszybciej przyjechać - poleciła łagodnie pielęgniarka. - To kwestia kilku godzin.

Jakoś zdołał wciągnąć na siebie ubranie. Zignorował impuls nakazujący mu zadzwonić do Beth i zamiast tego wybrał numer Petera, aby poinformować jego rodziców, że jedzie po Kyle'a.

Chłopiec ze zwieszonymi ramionami poszedł za nim do furgonetki.

Ben zaczął żałować, że jednak nie zadzwonił do Beth. Ona wiedziałaby, co zrobić. Wierzyłaby, uświadomił sobie nagle, że on wie, co należy zrobić.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Kyle'a.

- Nie.

- Ja też nie.

- Bardzo się boję.

- Ja też.

- To tego właśnie się boisz? - zapytał Kyle głosem pełnym strachu i cierpienia. - Powiedziałeś mi kiedyś, że każdy się czegoś boi. Tego się bałeś, wujku?

Ben z trudem wydobył dźwięki ze ściśniętego gardła.

- Tak - wydusił w końcu. - Tego.

Wiedział, że jego siostrzeniec ma na myśli śmierć, ale Ben miał z nią do czynienia znacznie częściej niż większość ludzi i ona akurat w ogóle go nie przerażała.

Miłość. To miłości bał się najbardziej. Miłość zawsze w końcu rzuca na kolana, udowadniając, jak wąła jest ludzka wola w obliczu świata.

A on znów prawie się odsłonił. Prawie.

Gdyby to głos Beth usłyszał tego ranka w słuchawce, jego życie ułożyłoby się inaczej. Teraz jednak zdecydował się położyć kres iluzorycznym pragnieniom i poprzysiągł sobie nigdy do nich nie wracać.

Ruszyli z Kyle'em jasno oświetlonym szpitalnym korytarzem do pokoju Carly. Na progu Ben się zawahał i położył dłoń na ramieniu chłopca.

Czy dobrze zrobił, przyprowadzając go tutaj? Żałował, że nie zapytał Beth. Przywilej korzystania z jej wiedzy i dzielenia się z nią swoimi ciężarami oznaczałby jednak decyzję. Podjął jedną o świcie, pławiąc się w ciepłe jej ramion, lecz gdy zadzwonił telefon, postanowił ją zmienić.

Czy dobrze zrobił, przyprowadzając tu Kyle'a? Zrozumiał w końcu, że sam musi się z tym zmierzyć, i wyprostował ramiona. Widział już umierających ludzi i wiedział, jakie to trudne przeżycie. Czy jednak jego siostrzeńcowi nie byłoby znacznie trudniej, gdyby nie zdołał pożegnać się z matką?

Carly leżała na łóżku i wyglądała jak nierówność na materacu, jakby zaczęła znikać już dawno temu. Odwróciła do nich głowę, a na jej twarzy Ben nie dostrzegł ani lęku, ani cierpienia. Całkowity spokój.

- Kyle - szepnęła - podejdź do mnie.

Kyle wspiął się na łóżko i mocno do niej przytulił. Kołysała go i całowała czubek jego głowy, raz po raz powtarzając mu, jak bardzo go kocha. Powiedziała mu, że nie była matką, na jaką zasługiwał, ale on był dobrym dzieckiem. I że jest z niego dumna.

Łzy płynęły po policzkach chłopca i wsiąkały w jej koszulę nocną. Ben na palcach opuścił pokój. Matka i syn potrzebowali czasu tylko dla siebie. Na takie słowa Kyle czekał całe życie.

Po dłuższej chwili chłopiec wyjrzał na korytarz, ocierając twarz rękawem.

- Chce się z tobą zobaczyć. Na osobności.

- Dobrze się czujesz?

Kyle spojrzał na niego z ukosa.

- Wybacz, głupie pytanie. - Ben pogłaskał go po ramieniu, a potem zmienił zdanie i przyciągnął go do siebie, przytulając z całych sił. Potem niechętnie go wypuścił i wszedł do pokoju.

- Będziesz o niego dbał, prawda, Ben? - W głosie siostry brzmiała rozpaczliwa prośba.

- Obiecuję.

Przez chwilę wpatrywała się w jego twarz, aż dojrzała na niej coś, co ją uspokoiło.

- Nie mów mu tego nigdy, ale się cieszę. Cieszę się, że to koniec. Tak bardzo za nimi tęskniłam, Ben.

- Wiem.

- Czy mógłbyś mnie przytulić? - szepnęła.

Wśliznął się pod kołdrę i wziął ją w ramiona. Czuł się tak, jakby tulił do siebie piaskę.

- Wiesz, za czym tęskniłam najbardziej? Właśnie za tym. Za przytulaniem się do mamy i taty. Za słowami: kocham cię. Ty nigdy ich nie wypowiedziałeś, wiesz? Przynosiłeś jedzenie, zabawki dla Kyle'a, prezenty dla mnie, ale nigdy tego nie powiedziałeś.

- Przepraszam.

- Ja też cię przepraszam, Ben. Tak wielu rzeczy żałuję. Ludzie, których kochałam, przeszli przede mną piekło. Nie puszczaj mnie - poprosiła i zacisnęła dłoń na jego kości, przysuwając się jeszcze bliżej.

W końcu jej dłoń opadła na koldrę. Zamknęła oczy. Oddychała z coraz większym wysiłkiem.

Doskonale wiedział, że Carly już się nie obudzi. W pewnej chwili do pokoju wrócił Kyle, wcisnął się do łóżka między nich, położył głowę na piersi matki i pozwolił wujkowi otoczyć się ramieniem tak, że Ben przytulał ich oboje.

O szóstej wieczorem, gdy zwyczajne rodziny zasiadały do kolacji i dyskutowały o tym, kto zawiezie dzieciaki na rozgrywki Małej Ligi, Carly, słaba jak pisklą, które wypadło z gniazda, w końcu odnalazła spokój.

Benowi nie było dane go poczuć. Uświadomił sobie, że nawet w ostatnich chwilach życia Carly nie był zdolny dać jej tego, czego najbardziej potrzebowała. Zrozumiał, że stracił ostatnią szansę, aby jej powiedzieć, że ją kocha.

Teraz już wiedział, dlaczego poszedł do Beth, aby zakończyć ich związek. Nie zamierzał ratować siebie. Chciał dokonać najbardziej altruistycznego, pełnego miłości czynu, na jaki mógłby się zdobyć: ocalić ją przed mężczyzną, który nie był w stanie nikomu niczego ofiarować. Dwa proste słowa.

Kocham cię. Dar, na który jego siostra czekała całe życie. A on nigdy jej go nie dał. Nie skorzystał nawet z ostatniej szansy.

Beth zasługuje na kogoś lepszego. Znacznie lepszego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Beth z całych sił starała się nie okazywać zdumienia na widok Bena. Spotykali się po raz pierwszy od czasu pogrzebu Carly, który miał miejsce ponad miesiąc wcześniej. Rozmawiali kilka razy przez telefon, lecz za każdym razem wyczuwała w jego głosie chłód. Nie zdołała go nakłonić do powrotu do jej świata. Odnosiła wrażenie, że cała siła jego woli jest skierowana przeciwko niej.

Nie przeciwko niej osobiście, przypomniawszy sobie. Ben bronił się przed wszystkim, co mogłoby go w jakikolwiek sposób zranić.

Beth nakłoniła go do przyjścia pod pretekstem wywiadówki. Tego ranka szczególnie starannie dobierała garderobę, niecierpliwie oczekując spotkania z Benem. Miała na sobie jedwabną bluzkę, ołówkową czarną spódnicę, perły w uszach i na szyi.

Ciągle chodziło o to samo. Chciała nakłonić go do zmiany zdania. Wcześniej sprawa dotyczyła pocałunków, teraz czegoś znacznie poważniejszego.

Zaufaj mi, pozwól mi się do siebie zbliżyć. Nie musisz mnie kochać, tylko pozwól, abym ja cię kochała.

Była to najbardziej niezwykła rzecz, jaka jej się przydarzyła, zwłaszcza w obliczu obojętności Bena, faktu, że ją odepchnął. Wcale nie czuła się gorzej przez to, że go kochała, a wręcz odwrotnie.

Czuła się dojrzała, bardziej pełna życia i współczucia niż kiedykolwiek wcześniej. Była lepszą nauczycielką, lepszą kobietą, lepszą istotą ludzką. Tego właśnie dokonała w niej miłość. Prawdziwa miłość nie niszczy ludzi, lecz ich wzmacnia. Chciała podzielić się z Benem tą niezwykłą prawdą, którą niedawno odkryła.

Ben był równie przystojny jak zawsze. Szedł pomiędzy ławkami z taką pewnością siebie, że wszystko wokół niego wydawało się niewiarygodnie małe.

Gdy jednak usiadł naprzeciwko niej na krześle, które ustawiła po drugiej stronie biurka dla rodziców, zauważyła, że jego twarz zeszcupiała, jego rysy się wyostrzyły, a z jego zielonych oczu zniknęło światło.

- Jak się czujesz? - zapytała z troską.

- Lepiej będzie, jeśli ograniczymy naszą rozmowę do Kyle'a.

- Wyglądasz, jakbyś był chory.
- Tak trudno ci mnie usłuchać?
- Tak trudno ci zrozumieć, że to nie ty ustalasz reguły dla całego świata?

Na jego twarzy mignął cień uśmiechu. Czyżby przypomniał sobie te długie jesienne dni, kiedy się spierali, a potem razem z tego śmiali?

- Wierz mi, Beth, wiem, że to nie ja ustalam reguły dla świata. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

Oczywiście miał rację. Przecież pochował siostrę. I swoich rodziców. I wielu towarzyszy broni.

Przynajmniej nadal mówił jej po imieniu. Czy uchylał tym samym dla niej drzwi do swojego przeraźliwie samotnego świata?

Na pewno o to chodziło. Nie mogła się teraz poddać.

- Kyle całkiem nieźle sobie radzi - stwierdziła.
- Tak. Odrabia zadania. Widziałem jego cenzurkę.
- Nie mówiłam o zadaniach i cenzurkach.
- Jakoś dajemy sobie radę, Beth.

Kiwnęła głową.

- Peter chciałby zaprosić go na świąteczny weekend. Moi rodzice pytają, czy przyjdziecie w Święto Dziękczynienia na obiad.

- Zapytam, czy chciałby pójść. Jestem pewien, że się zgodzi. To dzięki twojej mamie i Peterowi dochodzi powoli do siebie. Podziękujesz im w moim imieniu?

- To znaczy, że ciebie nie będzie?

Potrząsnął głową.

- Chyba zrobię krótki wypad na Hawaje.
- Pojedziesz na cztery dni? - zapytała z niedowierzaniem.

Wzruszył ramionami z miną, która wyraźnie mówiła, że nie zamierza się jej tłumaczyć ze swoich planów.

- Oplakujesz wszystko, prawda, Ben? Nie tylko śmierć Carly, lecz wszystkie te rzeczy, które, jak mi kiedyś powiedziałeś, odłożyłeś na później.

- Nie zaczynaj - powiedział groźnie.

- Nie mów mi, że mam nie zaczynać - warknęła. - Pamiętasz, gdy po raz pierwszy przyszedłeś do tej sali? Kyle miał kłopoty, ale ty nie zamierzałeś go stracić. Przyszedłeś po niego. Kto przyjdzie po ciebie, Ben, jeśli nie ja?

- Nie masz nawet krzty dumy? Uganiaasz się za facetem, który nie chce tego, co możesz mu zaoferować!

Dawna Beth ugięłaby się pod tym ciosem, nowa się uchyliła, mierzając wzrokiem tego, który go zadał.

Jej poczynania nie miały nic wspólnego z dumą i poczuciem własnej wartości. W zasadzie nie miały nic wspólnego z nią. Wyczuwała w Benie potrzebę i rozpacz, a także miłość, która wymagała od niej, aby się nie poddawała.

- Nie zostawię cię - rzekła cicho.

Nie odda go na pastwę więzienia, które sam dla siebie zbudował.

Wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Zaciśnął dłonie w pięści.

- Nie chcę tego. Nie rozumiesz? Nie zależy mi na nikim poza mną samym.

- Bo to boli?

- Nie! Bo jestem egoistą i nie zamierzam się zmieniać. Widzisz we mnie rzeczy, których tam nie ma. Już raz wymyśliłaś sobie faceta. Nie popełniaj drugi raz tego głupiego błędu.

- Nie mam zamiaru cię opuścić - powtórzyła. - I tak mnie nie powstrzymasz.

Spojrzał na nią z gniewem.

- Nie wiem, czy w ogóle wrócę z Hawajów.

Była pewna, że to blef, ale po chwili namysłu zrozumiała, że niezależnie od tego, dokąd on przed nią ucieknie, ona pojedzie za nim. Nagle usłyszała zduszony okrzyk.

W którym momencie Kyle wszedł do sali? Stał tam jeszcze przez chwilę, wpatrując się w wuja a potem okręcił się na pięcie i uciekł.

Ben zwiesił ramiona w geście porażki.

- Taki właśnie jestem - powiedział ochryplym głosem. - Ranię ludzi. Dlatego musisz ze mnie zrezygnować, Beth.

Odwrócił się i wyszedł.

Supertajny dziennik Kyle'a O. Andersona

Wujek przeprowadza się na Hawaje. Słyszałem, jak mówi o tym Beth. Nazywam ją Beth prywatnie, a panną Maple w szkole. Na początku było to trochę dziwne, ale teraz już nie jest.

Wiedziałem, że coś się święci, jeszcze zanim podsłuchałem ich rozmowę. Wujek był ostatnio bardzo cichy. Raz przeglądał jakąś wielką książkę, ale kiedy tylko wszedłem do pokoju, zaraz ją odłożył.

Czekałem więc, aż wyjdzie, i ją odnalazłem. To był album pełen zdjęć jego i mamy, kiedy byli mali, i moich dziadków. Chciałbym obejrzeć te zdjęcia razem z nim, bo mógłby mi opowiedzieć, co wtedy robili, ale jak je oglądał, miał taką minę, że bałem się o cokolwiek go zapytać.

Przez chwilę myślałem, że Beth, ja i on będziemy rodziną, ale teraz widzę, jak głupio zrobiłem, marząc o czymś takim. Rojenia dzieciaka.

Przez chwilę mogłem udawać, że rodzina Beth jest moją rodziną. Jej mama powiedziała, że mogę do niej mówić babciu, tak jak jej wnuki, a jej tatę nazywałem dziadkiem Ikiem. Wszyscy go tak nazywają.

Babcia przysłała mi nawet kartkę po śmierci mamy. Pierwszy raz dostałem jakąś przesyłkę, zaadresowaną tylko do mnie. Napisała, że bardzo jej przykro. Dalej mam tę kartkę, ale chyba jednak ją podrę i wyrzucę.

Bardzo ich lubię, ale przecież nie są moją rodziną.

Jest nią wujek Ben. Zastanawiam się, czy spróbuje mnie im podrzucić. Jeśli poleci na Hawaje i już tam zostanie, jak powiedział Beth. Nie słyszałem, żeby miał zabrać mnie ze sobą. Wiecie co? On nie chce się troszczyć o nic i o nikogo.

Łącznie ze mną. I ja też zamierzam od teraz tak robić. Ciekawe, ile trzeba mieć lat, żeby móc się zaciągnąć do piechoty morskiej? Pewnie więcej niż jedenaście.

Może mógłbym przyłączyć się do wędrownego cyrku?

Od początku się bałem, że mnie nie zatrzyma. Teraz wiem, że tego nie robi. Ale wcale nie jestem przerażony. Jestem wściekły.

Zabiorę Kermita i poszukam sobie nowego miejsca do życia. Podobno w Australii jest bardzo ładnie o tej porze roku. Na pewno mógłbym się zadekować na jakiejś łodzi. Albo popracować na parowcu.

Nie będę czekał na pocztówkę z Hawajów, na której będzie napisane: miło było cię poznać, dzieciaku, niech ci się dobrze wiedzie.

- Kyle?

Dom był pusty. Przez chwilę Ben zastanawiał się, czy Kyle miał jakieś plany na popołudnie. Może poszedł do kolegi i zapomniał go o tym uprzedzić?

Z jakiegoś powodu zajrzał jednak do jego pokoju. i zmarszczył brwi. Drzwi szafy były otwarte, większość ubrań zniknęła. Szuflady bieliźniarki także ziały pustką.

Spojrzał na akwarium, w którym mieszkał Kermit.

Żaba zniknęła.

A potem zobaczył kartkę na biurku Kyle'a.

„Pojechałem do Australii. Baw się dobrze na Hawajach. Cześć. Kyle O. Anderson". To O oznaczało Olivera. Sierota nazwała go tak na cześć sieroty. A teraz chłopak sam był sierotą, a Ben na każdym kroku sprawiał mu zawód.

W tych krótkich słowach zawierał się cały ból i rozczarowanie, które odczuwał jego siostrzeniec.

Po raz kolejny Ben boleśnie odczuł swoją porażkę. Który jedenastolatek nie próbuje uciec z domu? Gdy tylko Kyle wróci, głodny, zmęczony i przemarznięty, Ben wytłumaczy mu, że nie mówił poważnie o przeprowadzce na Hawaje.

Nie wyzna mu jednak całej prawdy. Powiedział tak przecież tylko po to, aby odstraszyć Beth. Nie zamierzał pozwolić, aby na niego czekała.

Nie był przygotowany na jej widok, jej miłość, na którą nie zasługiwał, a która jaśniała w jej oczach.

Ben odpędził tę wizję i ruszył do wyjścia. Coś jednak przyciągnęło jego uwagę. Pod półką, na której stało mieszkanie Kermita, leżała na ziemi książka.

Zatrzymał się i podniósł ją. Był to tani pamiętnik w twardej okładce z kluczykiem. Nie był zamknięty. Zapewne Kyle upuścił go przez nieuwagę.

Ben otworzył dziennik na pierwszej stronie, świadom tego, jakim naruszeniem zaufania jest czytanie pamiętnika. Z drugiej strony jednak, pomyślał, to może mu pomóc odnaleźć Kyle'a.

- Supertajny dziennik Kyle'a O. Andersona - przeczytał na głos i uśmiechnął się. Cały Kyle.

Skryty. Ukrywający swoją wrażliwość. Ben nie najlepiej radził sobie z wrażliwością. Jeszcze jeden powód, aby pozwolić Beth odejść. A co z Kyle'em?

Może ten chłopak zasługuje na więcej, niż był mu w stanie dać jego wujek?

Ben nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że oddaje Kyle'a, choć już po kilku stronach pamiętnika zyskał pewność, że jego siostrzeniec nie ma o tym pojęcia.

Jak to możliwe, że nie udało mu się uświadomić mu na samym początku, że to jest teraz jego nowy dom? Dlaczego Kyle nie wie, że niezależnie od wszystkiego Ben go nie odda?

Założył, że chłopak po prostu o tym wie. Ta głupia kowbojska pościel i poświęcenie kina domowego dawały przecież wyraźny sygnał. Tak założył. Założył, że jego siostra wiedziała, że ją kocha. Czy kiedykolwiek w życiu zapewnił o tym swojego siostrzeńca? Nie. Dzieciak kładł się spać co wieczór, przerażony myślą, że nie będzie miał się gdzie podziać, a Ben nie zrobił nic, aby go zapewnić, że jest inaczej.

Przeciwnie, zabrał jedyną rzecz, która dawała mu taką pewność - więź, którą zaczęli budować z Beth.

- Wiesz co? - powiedział do siebie głośno. - Masz prawdziwy dar zrażania do siebie ludzi.

Dokąd Kyle mógł się udać? Czy zdążył ochłonać, zanim zdecydował się wyjechać do Australii? Był znacznie mądrzejszy niż przeciętny jedenastolatek. Czy wiedział, że podróż na inny kontynent nie będzie prosta?

Ben tęsknił za Beth, za kimś, do kogo mógłby się zwrócić. Postanowił jednak przecież przejść przez życie samotnie.

Godzinami przeczesywał Cranberry Corners, rozmawiał z kierowcami autobusów, udał się na dworzec i błądził w ciemnościach nad stawem Migg, ale nigdzie nie natknął się na ślad Kyle'a.

I co teraz? Czy powinien zadzwonić na policję?

Musi z nią porozmawiać. Nie dlatego, że może wiedzieć, dokąd udał się Kyle, choć na pewno miałaby kilka dobrych pomysłów. Musi z nią porozmawiać, bo ona jest tą jedyną. Przebiła się przez mur, którym się otoczył, i zdobyła jego serce.

Pokochał Beth, ale ona wcale nie musi o tym wiedzieć.

Gdy usłyszał w słuchawce jej zaspany głos, poczuł ciepło, które rozgrzało go od środka.

- Beth - rzekł dziękczynnym tonem.

- Ben?

- Przepraszam, że cię obudziłem. - Za to i za wiele innych rzeczy.

- Nie szkodzi. Co się stało? Jest druga w nocy.

Gdy tylko usłyszał jej głos, nagle wszystko stało się jasne. Wiedział już, gdzie jest Kyle. Wiedział, że Kyle, zraniony, porzucony i niekochany, tam właśnie wróci - do miejsca, które rozkwitło pod wpływem miłości, gdzie w powietrzu unosi się niezwykła magia.

- Widzisz z okna sypialni domek na drzewie?

- Tak.

- Mogłabyś do niego zajrzeć?

- Po co?

- Kyle uciekł. Myślę, że mógł się tam ukryć.

Słyszał, jak Beth się porusza. Zastanawiał się, co ma na sobie. Jaki mężczyzna myśli o takich sprawach w takiej chwili? Ten, który jest nic niewart.

- Jest za ciemno - szepnęła. - Mam zapalić światło na ganku?

- Nie. Zaraz tam przyjadę.

Zaparkował w następnej przecznicy, żeby nie przestraszyć Kyle'a. Beth czekała na niego na podwórku. Razem wspięli się do domku.

Kyle usłyszał ich kroki i skulił się w kącie, nie mając dokąd uciec.

- Zostawcie mnie samego - wyjąkał.

Ben od razu zauważył, że dzieciak nie był przygotowany na chłodną noc. Aż dygotał z zimna.

- Nigdy nie zostawię cię samego. Nigdy.

- No jasne. - Kpina w jego głosie była wymuszona, krył się pod nią dziecinnie strach. - Przecież lecisz na Hawaje.

- Gdybym zamierzał się tam przeprowadzić, zabrałbym cię ze sobą. Jesteś moją rodziną.

Wyraz twarzy Kyle'a nieco się zmienił.

- Nie chcę jechać na Hawaje. Mam tu przyjaciół.

Ben przez chwilę rozważał te słowa. Kyle ma tu przyjaciół. Ile się zmieniło przez te krótkie miesiące! W przeciwieństwie do niego, Kyle nie był jeszcze zniszczony przez życie na tyle, aby uciekać przed darem przyjaźni.

- Dobrze.

- To ty też nie pojedziesz na Hawaje?

- Nie zostawię cię. - Powiedz to. Powiedz mu, że go kochasz. Nie zdobył się jednak na to. Czy istniały w języku słowa równie nadużywanej zmanipulowane?

Jego mama wyszeptala je, posyłając mu całusa. Nie mógł ich wymówić, wciąż przesadnie wierząc w związaną z nimi klątwę.

- Chodźcie - wtrąciła Beth. - Wejdziemy do środka, zanim zamrznę na kość. Muszę się napić gorącej czekolady. - Wyciągnęła ramię, a Kyle skulił się pod nim jak piśklatko pod skrzydłem kwoki.

Bena zupełnie zignorował.

Przy stole zauważyli, jak bardzo Kyle jest zmęczony. Powieki mu opadały, a głowa kiwała się na boki. W końcu oparł czoło na blacie.

- Nie budź go. Zanieś go do pokoju gościnnego - powiedziała Beth, gdy Ben wziął siostrzeńca na ręce.

Kyle miał jedenaście lat, ale był słaby jak niemowlę. Ben zaniósł go do pokoju, który Beth mu wskazała, a ona okryła chłopca białą narzutą, nie przejmując się wyglądem jego ubrania.

Dla niej zawsze dzieci były na pierwszym miejscu. Kiedyś wyobraził ją sobie wyraźnie w białej sukni ślubnej. Teraz mógł zobaczyć, jak pochyla się nad dzieckiem i otula je kocem.

Potań oczy, próbując odgonić od siebie te myśli.

- To ja już pójdę.

- Nie. Musimy porozmawiać.

- Oto słowa, które każdy mężczyzna pragnie usłyszeć w środku nocy. - Nie bał się ich jednak. Czuł, że muszą oczyścić atmosferę, raz na zawsze.

- Proszę, nie patrz tak na mnie.

- Jak?

- Jakbyś widziała przed sobą rycerza w lśniącej zbroi, a nie mężczyznę z krwi i kości. Zobacz, co dziś narobiłem.

- Co takiego zrobiłeś? Twój siostrzeniec zginął, a ty szukałeś go do skutku. Pozwoliłeś sercu zgadnąć, dokąd się udał.

Ben prychnął.

- Sercu? Nie oszukuj się.

- To ty się cały czas oszukujesz. Ja od początku widziałam w tobie serce. W nim się zakochałam.

- Nie mów tak.

- Nie mam wyboru. Nie mogę przestać tego czuć.

- Beth, ja cię zawiodę, tak jak zawiodłem moją siostrę i Kyle'a. Carly chciała tylko usłyszeć, że ją kocham. Tego samego potrzebował dzisiaj Kyle. Ja nie mogę tego powiedzieć. Dławię się tymi słowami.

- Nie możesz tego powiedzieć? - Roześmiała się miękko. - Ty głuptasie. A po co miałbyś to robić? Przecież widzę miłość w sposobie, w jaki traktujesz Kyle'a. Twoja siostra także musiała to dostrzec. Widziałam to przez cały czas, gdy budowałeś mi ten domek. Słowa tylko reprezentują uczucie, nie są nim. Och, Ben, przecież ja od początku widziałam, że miłość dosłownie się z ciebie wylewa. Od samego początku.

A potem podeszła do niego, ujęła jego twarz w dłonie, spojrzała mu prosto w oczy i odetchnęła z ulgą i satysfakcją.

- Zawsze to widziałam i zawsze będę widzieć.

A potem go pocałowała. Jej namiętność pokonała ostatnią przeszkodę. Nie została go. Nie poddała się, dopóki nie odnalazł drogi do domu. Do niej.

Mur wokół jego serca runął jak tama po czterdziestu dniach i nocach deszczu, uwalniając wszystkie uczucia, które dotychczas się w nim kryły - pokłady bólu, żalu oraz miłości, czystej bezinteresownej miłości, pod wpływem której Ben w końcu wypowiedział na głos te słowa. I zrozumiał, że oznaczają one błogosławieństwo, nie klątwę. Reprezentują sobą nie więzienie, lecz wolność.

Supertajny dziennik Kyle'a O. Andersona

Nadal nie jestem pewien co do nieba, ale ostatnio wyraźniej czuję obecność mamy niż wtedy, kiedy żyła. To pewnie dlatego, że dorastam i zaczynam rozumieć, że te wszystkie nieszczęścia, które przydarzyły się jej w dzieciństwie, odmieniły ją. Jakby ktoś zarzucił koc na jej prawdziwą osobowość. Teraz jednak koc zniknął, a ja czuję ją przy sobie taką, jaka naprawdę była. Wyczuwam jej obecność, kiedy najmniej się tego spodziewam. Tego ranka wyszedłem na dwór popatrzeć na szron i poczułem coś wielkiego, czystego i słodkiego.

Wyczuwam coś takiego także w obecności Bena i Beth, wtedy, kiedy na siebie patrzą albo się dotykają. Czasami widzę kątem oka, jak on dotyka jej ręki i zastyga na chwilę, jakby się dziwił, że to w ogóle możliwe.

Pobrali się dwa lata temu. To był niezwykły dzień. Wujek poprosił, żebym został jego drużbą. Gdy zobaczyłem Beth zmierzającą do ołtarza jak anioł w długiej białej sukni, poczułem, że idzie do nas, nie tylko do niego. Chyba faktycznie tak było, bo przecież ja i wujek to transakcja wiązana.

Teraz jest nas troje. Nazywam Beth mamą B. Jest dokładnie taka, jak się spodziewałem. Pełna ciepła i uścisków, ale stanowcza, jeśli chodzi o dobre wychowanie i godzinę policyjną, i bardzo opiekuńcza. Większość trzynastolatków uznałaby to pewnie za strasznie wkurzające, ale zdradzę wam w tajemnicy, że mnie się to podoba. Chociaż już nie mogę się doczekać, kiedy urodzi się dziecko. Wtedy Beth będzie miała więcej osób do rozpieszczania.

Większość trzynastolatków pewnie nie życzyłaby sobie niemowlaków. Casper i Peter przyglądają się brzuchowi Beth z przerażeniem, dlatego staram się ukrywać, jak bardzo się cieszę i jak jestem podekscytowany.

To jest mój świat. Czuję się kochany. Znajdzie się w nim miejsce i dla dziecka. Dzięki rodzinie jesteśmy bogatsi, nie ubożsi.

Wujek mnie woła. Dzwoni Casper. On też spoważniał przez te lata. Nie awanturuje się już tak głośno i nie znęca się nade mną. Na pewno pomogło też to, że jestem od niego wyższy o prawie trzy centymetry i cięższy o pięć kilogramów. A może to dlatego, że babcia i dziadek Ike mają taki fajny basen.

Mamy wspólny projekt i Casper chce, żeby jego bohaterem był Dżyngis-chan. Nadal lubię Dżyngis-chana, ale nie dlatego, że podbił pół świata. Fascynuje mnie jego ukryta natura.

Większość ludzi nie wie, że Dżyngis-chan miał przyjaciela, który nazywał się Dżamuka. Byli braćmi krwi. Gdy Dżamuka został wybrany chanem, stali się wrogami. Gdy jednak Dżyngis-chan wziął go do niewoli, nie zabił go, lecz zaproponował mu odnowienie paktu braterstwa. Dżamuka odmówił.

Jak byłem mały, wydawało mi się, że mój wujek jest najpotężniejszym człowiekiem na ziemi. Ciągłe do nas przychodził, przynosił zabawki i jedzenie, a moja mama zawsze podle go traktowała, odmawiając przyjęcia prawdziwego daru, który jej przynosił - rodziny, miłości, wybaczenia.

Wujek wciąż wracał i wyciągał do niej rękę. Wątpię, aby kiedykolwiek użył słowa „wybaczać”, tak jak rzadko mówi kocham, ale wiem, że wybaczył mamie, bo zawsze dostrzegwał to, kim naprawdę była. Są takie sytuacje i tacy ludzie, którzy nie potrzebują słów.

Wiem, że moja mama bardzo się starała. Mógłbym być na nią zły za te chwile, kiedy sobie nie radziła, ale wolę być taki jak wujek i wybaczyć jej wszystkie rzeczy, które zrobiła, i te, których nie zrobiła.

Nie miałem idealnego dzieciństwa, ale właśnie dzięki niemu jestem sobą. Czuję się znacznie dojrzałszy niż Peter czy Casper i lepiej od nich radzę sobie z pewnymi sprawami. Są kwestie, których oni po prostu nie pojmują i pewnie nigdy nie pojmą.

Nie rozumieją, że najfajniejszą częścią historii Dżyngis-chana jest właśnie miłość, którą on czuł do swojego brata, znacznie ważniejsza niż całe zło, które się pomiędzy nimi wydarzyło.

Nie rozumieją, jak cudownie pachnie opiekany chleb o poranku i jak dobrze jest mieć pięć dolarów w kieszeni i wiedzieć, że można je wydać, na co się chce. Nie wiedzą, jakim błogosławieństwem jest to, że na świat przyjdzie dziecko, które będzie miało mamę, tatę i kuzyna, którzy zrobią wszystko, aby je chronić i będą je kochać niezależnie od tego, co się wydarzy.

Casper i Peter nie rozumieją, czym jest prawdziwy strach. Nie rozumieją, jak wspaniale jest czuć się wolnym od obaw. Obaj są jeszcze trochę niedojrzali. Wystarczy im nowy telewizor, żeby poczuli się szczęśliwi.

A ja czuję szczęście, gdy czekam na Beth po szkole, żebyśmy mogli razem jechać do domu. Po drodze rozmawiamy o tym, co by tu ugotować na kolację. Potem idę sprawdzić, co u Kermita i zaraz wracam, żeby jej pomóc. Świetnie obieram ziemniaki i robię najlepszą pod słońcem sałatkę Cezara.

A potem do domu wraca wujek. Gdy obserwuję jego twarz, kiedy przekracza próg i nas widzi, niczego więcej mi już nie potrzeba. Nawet iPoda.

Zazwyczaj jest strasznie brudny i potargany, ale Beth patrzy na niego jak na księcia z bajki. Wtedy jego oczy się rozjaśniają, uśmiecha się, podnosi Beth do góry i kręci się z nią w kółko, jakby była lekka jak piórko, chociaż teraz naprawdę nie jest lekka. Kołysze ją na boki, a Beth śmieje się tak głośno, że nie może przestać. Potem wujek podchodzi do mnie, mierzwi mi włosy i pyta, jak mi minął dzień, a ja czuję, że naprawdę chce to wiedzieć.

Kiedy patrzę na twarz mojego wujka, który uśmiecha się do mnie i do Beth, widzę na niej coś, czego Dżyngis-chan nigdy nie doświadczył z wyjątkiem tej krótkiej chwili, gdy wybaczył swojemu bratu Dżamuce.

To jedyna rzecz, która tak naprawdę może podbić świat.

Miłość. Może to głupio zabrzmieć, ale wierzę, że tylko miłość może pokonać wszystko.

Nie zamierzam jednak zamieszczać tego spostrzeżenia w mojej pracy na koniec siódmej klasy.



TLR